Nr. 163. Lwów — Wtorek dnia 20 Lipca. Rok 1897.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową w kraju i w Austryi miesięcznie ... w Niemczech „ ... w innych państwach „ ...
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
w „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo tłustym petitem po . . . . . 2 „
tłustym garmondem po . . . . . 3 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do *Przeglądu* przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: św. Czesława i Kas. | Prokopija Ep.
Jutro: św. Praksedy P. | Pankratya Ep.
Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca o 4 m. 26 Zachód „ 7 „ 42
Długość dnia g. 15 m. 16 Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 19 lipca.

Obywatele cesarstwa niemieckiego coraz nieoględniej a hałaśliwiej wtrącają się do wewnętrznych spraw austryackich, demonstrując przeciw rozporządzeniom językowym, wydanym dla Czech i Morawy, oraz wzywając swój rząd do obrony „uciskanych“ Niemców austryackich. Czynią to nietylko dzienniki, których poziom moralny i umysłowy stoi tak nisko, że doprawdy jak taktu nie można od nich żądać, tak i uwagi na ich hałasy nie warto zwracać, — czynią to również uniwersytety niemieckie, nie studenci, co byłoby dość zwyczajne, ale profesorowie, a to jest wprost skandaliczne. Uczeni, a więc ludzie, którzy powinni umysłowo wzbijać się nad poziomy i lepiej od tłumów rozumieć sprawiedliwość podpisują protesty przeciw nadanemu Czechom prawu załatwiania spraw z administracyą we własnym języku. Zaiste, to nie są prawdziwi uczeni! Do tej demonstracyi uniwersytetów niemieckich w Berlinie, Wrocławiu, Królewcu, Bonn, Lipsku, Monachium, Heidelbergu, Strassburgu i t. d. — razem takich uniwersytetów znalazło się 21 — dał zachętę niemiecki uniwersytet w Pradze, proklamowawszy ku zdumieniu wszystkich bezstronnych ludzi przekonanie, że przyznanie Czechom praw równych prawom niemieckim jest krzywdą niemieckiego narodu, o którym przytem powiedziano, że jest wielki i kulturny. Ledwo się tak popisał niemiecki uniwersytet w Pradze, zaraz w Heidelbergu uczeni ułożyli taki manifest:

„W wielkiej i ciężkiej walce, do której dziś zmuszeni są austryaccy Niemcy, którzy bronią swej narodowej egzystencyi i swego uprawnionego stanowiska w starej, przez nich stworzonej i przedewszystkiem ich siłą utrzymywanej habsburskiej monarchii, podniósł prazki uniwersytet, jeden z najstarszych niemieckich, męzki głos, aby sposobem legalnym wskazać wielkie niebezpieczeństwa, grożące jemu, jako prastaremu ognisku niemieckiej wiedzy, a zarazem całej niemieckiej narodowości w Czechach i na Morawie

„Podpisani zwyczajni profesorowie uniwersytetów cesarstwa niemieckiego wyrażają kolegom czcigodnego siostrzanego uniwersytetu austryackiego swe najgorętsze i najżywsze sympatye z powodu jego wystąpienia, a zarazem dają wyraz przekonaniu, że miliony narodowo myślących obywateli państwa niemieckiego są z nimi jednej myśli“.

Z tysiąca zwyczajnych profesorów w Niemczech podpisało ten manifest 816-stu. Są tam nazwiska takich uczonych, jak Delbrück, Mommsen, Virchow, Caro, Bunsen, Röntgen, ale są i takie jak: dwaj Salkowscy, Domaszewski, Dziacko, Studnicka i t. d.

Kiedy Bismark wydalał Polaków, między którymi byli obywatele austryaccy, a niektóre nasze dzienniki wzywały Koło polskie, aby od rządu domagało się należytego wystąpienia w obronie austryjackich obywateli, wówczas cała prasa berlińska i liberalna wiedeńska dowodziły, że nie wolno się mięszać do wewnętrznych spraw odrębnego państwa. A kiedy teraz mięszają się do tych spraw Niemcy, to te same dzienniki wołają, że to jest „bezprzykładnie wspaniałe wystąpienie, które znosi słupy graniczne i zaświadcza przed światem, że naród niemiecki, *chociaż toleruje polityczne rozdzielenie na dwa państwa*, jednak czuje się jednym, a jego uniwersytety, jak dawniej wypielęgnowały ideę zjednoczenia, tak teraz czują się powołane do pielęgnowania jedności narodowej, nieznającej żadnych słupów granicznych!“

Okazuje się więc, że mieliśmy zupełną racyę, gdyśmy już z powodu werdyktu wiedeńskiego sądu przysięgłych w procesie Bartmana i Waniczka, zwrócili na to uwagę, że nie w Wiedniu i nie wśród niemieckiej ludności Austryi należy szukać austryackiego patryotyzmu. Ktoby to przewidział, że przyjdzie czas kiedy Polacy będą Niemcom austryackim dawali lekcyę tego, jak należy kochać Cesarza i jego dziedziczną Monarchię!!

Grozi wojna między Turcyą a Persyą. — Już ta ostatnia zbrojną ręką zajęła część terytoryum pierwszej, a owa pierwsza odpowiedziała na to wystosowaniem ultimatum, w którem powiada, że jeśli wojsko perskie nie cofnie się natychmiast, to będzie znaczyło, że wojna jest wypowiedziana. Stało się to nagle, bez żadnych przygotowań, niejako z żywiołowym rozpędem, a tem zapewne się tłómaczy fakt, że już we czwartek posłano z Konstantynopola rozkaz Edemowi-baszy, aby rozpoczął odwrót z Tessalii, wszelako do zakończenia rokowań o pokój z Grecyą ma zatrzymać linię wzdłuż rzeki Peneios Przerwane rokowania pokojowe znów się zaczęły w piątek, kiedy na zaproszenie tureckiego ministra spraw zagranicznych Tewfika-baszy ambasadorowie przybyli do jego pałacu Tophane i odbyli konferencyę, rozpoczętą oświadczeniem, iż mocarstwa nie zgadzają się na wzmocnienie tureckiej załogi na Krecie. W obec niebezpieczeństwa wojny z Persyą, sułtan zapewne pośpieszy załatwić wszystkie nieporozumienia z powodu Grecyi i Krety.

Z Persyą poszło o kwestyę religijno-obyczajową. Mahometanie dzielą się na dwa wyznania, które zawsze spoglądały na siebie wrogo. Persya jest szyicką, a Turcya sunnicką, ta zaś różnica między nimi jest większa, niż naprzykład między katolikami a lutrami. Szyici i sunnici wzajemnie uważają się za heretyków, a ten rozdział powstał zaraz po śmierci Mahometa, przy zięciu jego i następcy Alim, jest więc już z górą dwunasto-wiekowy, zakorzeniony głęboko i wzmocniony bardzo licznemi wojnami. Na terytoryum tureckiem, o mil kilkanaście na południe od Bagdadu leży miasto Kerbela, uważane za święte przez szyitów perskich, bucharskich i chiwańskich, przez Afganów i Hindusów, wyznających islam. Świętości nagromadzone w Kerbeli czczą oni narówni z grobowcem Mahometa w Mekce i z czarnym kamieniem w Kaabie arabskiej, z owym kamieniem, o który wsparta była drabina, po której aniołowie zeszli z nieba ku śpiącemu prorokowi. Jak do Mekki, tak i do Kerbeli ciągną się co roku niezliczone karawany pątników z najdalszych okolic muzułmańskiej Azyi. Jest zaś między nimi religijny zwyczaj, że pątnik, który w Kerbeli oczyścił się z grzechów i zaraz zmarł, musi być przewieziony do ojczystej ziemi, gdzie go chowają pod kamiennym kurhanem i czczą jako błogosławionego. Zwyczaj ten zawsze był szanowany, ale w tym roku, z powodu dżumy w Indyach, wydano sanitarne przepisy, obmyślone przez lekarską konferencyę w Wenecyi, a przyjęte przez Turcyę, w tych zaś przepisach znajduje się postanowienie, że zmarli muszą być chowani tam, gdzie zakończyli życie. Stało się tedy, że perskim pielgrzymom w Kerbeli odebrano kilku nieboszczyków i pogrzebano ich na miejscowym cmentarzu. Wiadomość o tem natychmiast przedostała się do Persyi i wywołała tam burzę, którą gorliwie rozdmuchiwali sekciarze Babiści, zapewne w nadziei, że w ten sposób zakłócą państwo i obalą dynastyę, którą uważają za nieprawowitą. Wśród tego zamięszania wkroczyły do Turcyi wojska perskie, rozlokowane w sąsiedniej z Bagdadem prowincyi i pomaszerowały na Kerbelę. Dotąd nie wiadomo, czy one uczyniły to samowolnie, podbechtane przez Babistów, czy też rząd teherański dał im tajny rozkaz wpaść do Kerbeli, zabrać zmarłych i z nimi się cofnąć, przezco kwestya byłaby umorzona. Na nieszczęście jednak Beduini bagdadzcy zastąpili drogę wojsku perskiemu, nastąpiły utarczki i Persowie dotąd nie wzięli zmarłych pątników i nie cofnęli się z ziemi tureckiej. Ultimatum Porty będzie zapewne uwzględnione w Teheranie i do wojny nie przyjdzie, zawsze jednak rząd sułtański musi na wszelki wypadek mieć wolną rękę, a więc corychlej załatwić sprawę z Grecyą. Już tedy przystał na to, że Grecya zapłaci kosztów wojennych tylko cztery miliony funtów tureckich. Zgadza się na wyłączenie z rokowań pokojowych kwestyi praw, z których korzystają Grecy mieszkający w Turcyi, a tylko targuje się jeszcze o linię graniczną, żądając bodaj części terytoryum, przytykającego do rzeki Peneios, albowiem — wedle opinii tureckich militarzystów — posiadanie samych przesmyków w górach, tworzących dotąd granicę, nie przedstawia strategicznych korzyści dla Turcyi. Jest to sprawa podrzędna, która nie powinna wstrzymać rokowań o pokój. Nieco ważniejsze jest drugie żądanie Porty, mianowicie, aby kontrybucya była przez Grecyę zapłacona natychmiast. Rząd ateński nie ma pieniędzy i z podatków nie zdoła zebrać stu milionów franków. Lecz już się tworzy międzynarodowa spółka kapitalistów, która ma otrzymać porękę mocarstw.

Sprawa cylejska.

Piszą nam z Wiednia, 18 lipca:

Nagle zjawiła się na widowni politycznej tak głośna przed dwoma laty, ale już trochę zapomniana — sprawa cylejska. Jak wiadomo, dawniejsza Izba poselska, za rządów hr. Kielmansegga, gdy tekę ministra oświecenia piastował tymczasowo dr. Rittner, 10 lipca r. 1895 większością 173 głosów przeciwko 143 w rozprawach o budżecie uchwaliła krytyczną pozycyę 12.000 zł. na założenie niższego gimnazyum słoweńskiego w Cylei, które zatem powstało na początku r. 1896. W rozprawach nad budżetem na rok bieżący taż sama dawniejsza Izba poselska dnia 5 stycznia większością 109 głosów przeciwko 98 odrzuciła kwotę, wyznaczoną na dalsze utrzymanie wymienionego zakładu. Kazuistyka dziennikarska wysilała się wówczas na najdziwaczniejsze kombinacye ominięcia skutków tej uchwały. Tymczasem rząd wyprowadził z niej logiczną konsekwencyę, zwijając z końcem roku szkolnego wymieniony zakład. Prawo parlamentu stanowienia o wydatkach jest niewątpliwe. Ani hr. Taaffe, chociaż teraz pośmiertni panegiryści wychwalają go jako pogromcę rzekomej „wszechwładzy parlamentu“ austryackiego, nie pomyślał nigdy o tem, aby negować owe kardynalne prawo każdego parlamentu. Według reguły konstytucyjnej, rząd nie mógł inaczej postąpić, jak zwinąć gimnazyum cylejskie. Sprawa ta jednak na tle walki narodowościowej nabrała tyle politycznego pokostu, że z pewnością w tej kwestyi minister oświecenia nie działał na własną rękę, lecz na podstawie uchwały całego gabinetu. Staje się to rzeczą całkiem jasną, gdy zważymy, że zawiadomienie o zwinięciu gimnazyum cylejskiego *Fremdenblatt* wyprzedził urzędowym komunikatem o zupełnej zgodzie wszystkich członków gabinetu.

Mówiąc w nawiasie, z takiej decyzyi w sprawie cylejskiej nie wolno wyprowadzać żadnych niepomyślnych wniosków o widokach gimnazyum cieszyńskiego. Udzielenie podobnemu prywatnemu zakładowi „prawa publiczności“ nie zależy od parlamentu, lecz wyłącznie od władzy wykonawczej ministra oświecenia, względnie od formalnych warunków fachowych. Jesteśmy przekonani, że decyzya w sprawie słoweńskiego gimnazyum w Cylei zapadła głównie ze względów konstytucyjnych. Gdyby jednak domyślano się wchodzących w grę także motywów politycznych, to te same motywa nie działają wcale w sprawie polskiego gimnazyum na Szląsku. Sprawa cylejska w niemieckim obozie wywołała ogromne wzburzenie, przyczyniła się głównie do nagłego wzrostu stronnictwa niemiecko-narodowego w tak zwanych alpejskich prowincyach, przygotowała ścisłą ligę niemiecko-narodowo-antysemickiego stronnictwa z liberalnem, na której czele obecnie kroczy Schoenerer. Chociaż ta ewolucya zaiste nie sprawia nam przyjemności, musimy ponownie skonstatować, że ją przewidywaliśmy w r. 1895 i właśnie dlatego tak stanowczo ostrzegaliśmy wtedy przed stawianiem wszystkiego na kartę — cylejską. Z gimnazyum polskiem w Cieszynie ma się rzecz całkiem inaczej. Ta sprawa nie wywołała w obozie niemieckim żadnego, gwałtownego ruchu. W parlamencie nie wspomniano o niej, tutejsze dzienniki zaledwo sporadycznie odzywają się o niej, i to tylko ultra-niemieckie, jak *Ostdeutsche Rundschau*, — niezawodnie burza wrzała i wre w niemieckiej szklance wody Szlązka, ale nie przybrała nigdy rozmiarów burzy cylejskiej. Nie trudno to wytłómaczyć. Pomimo wszelkich deklamacyi o absolutnej narodowej „równorzędności“, pomimo daremnych usiłowań sprowadzenia na równy poziom najstarszych, stojących wysoko w cywilizacyi narodów historycznych z takiemi, które tak wysoko nie stanęły, różnica pomiędzy Polakami i Słoweńcami tak bije w oczy, że nawet szowinistom niemieckim w Austryi — podnosimy w Austryi! — nie przychodzi na myśl traktować na równi założenia polskiego gimnazyum w Cieszynie a słoweńskiego w Cylei.

Dlatego też kwestya nadania cieszyńskiemu gimnazyum prawa publiczności jest pozbawiona wszelkiej cechy politycznej. Czyli mówiąc wyraźniej, nadanie tego prawa nie zwiększy prądu opozycyjnego wśród Niemców, odmówienie lub raczej zwłoka nie złagodzi go. Czy decyzya w sprawie cylejskiej, oparta na legalności konstytucyjnej, przyczyni się do złagodzenia opozycyi w prowincyach alpejskich? — trudno dziś przewidzieć. Jest to pytanie pod politycznym względem ważne. Albowiem niebezpieczeństwo obstrukcyi zasadza się na ścisłym sojuszu stronnictwa niemiecko-narodowego i liberalnego, alias „postępowego“. Ani jedno, ani drugie z tych dwóch stronnictw samo przez się nie rozporządza dostateczną liczbą członków, aby przeprowadzić obstrukcyę skuteczną, t. j. zdolną uniemożebnić prawidłowe funkcye parlamentu. Gdyby się więc udało rozsadzić ten sojusz dwóch wymienionych stronnictw, widoki jesiennej sesyi znacznieby się polepszyły. Czy się to uda, o tem nie podobna przesądzać na podstawie pierwszych dziennikarskich głosów o decyzyi rządu w sprawie cylejskiej. *Ostdeutsche Rundschau* i *Deutsche Zeitung* główne tutejsze organa stronnictwa niemiecko-narodowego, dziś wyrażają się tak, jak gdyby tej sprawie nie przypisywały żadnego znaczenia. Hradecki organ tegoż stronnictwa *Grazer Tagblatt* wygłasza nawet kalembur, że zamknięcie zakładu cylejskiego jest właściwie ustępstwem dla — przywódzców słoweńskich, ponieważ już w ciągu pierwszego roku szkolnego nibyto wykazała się nieżywotność tego gimnazyum. Z drugiej strony tutejszy *Vaterland*, który w sprawie cylejskiej od samego początku zajmował zbyt jednostronne (słoweńskie) stanowisko, silnie się oburza i decyzyę gabinetu nazywa wprost — kapitulacyą (!), wywołaną demonstracyami w Chebie.

La nuit porte conseil *). Może do jutra dzienniki nieco się namyślą. Tymczasem dochodzą wiadomości z Hradca, że rozpoczęły się już układy pomiędzy Wydziałem krajowym a ministeryum oświecenia względem urządzeń, za pomocą których możnaby zastąpić zwinięte gimnazyum. Z drugiej strony donoszą, że wodzowie słoweńscy zgadzają się na zniesienie wymienionego zakładu pod warunkiem założenia w Cylei dla uczniów słoweńskich konwiktu (internatu) a otworzenie gimnazyum słoweńskiego w innem mieście południowej Styryi, co zalecaliśmy w r. 1895. Bądź co bądź, w tem także komunikat *Fremdenblattu* wygłosił ważną prawdę, że i ten spór, jak wszystkie inne, powinien być załatwiony na podstawie bezpośredniego porozumienia się interesentów, a więc Słoweńców i niemieckich Styryjczyków. To zgadza się zupełnie z wygłoszonemi niedawno poglądami hr. Dzieduszyckiego i z naszemi autonomicznemi przekonaniami. Wszelkie załatwianie lokalnych i stanowczo odmiennych sporów narodowościowych za pomocą uchwał centralnego parlamentu nie rozwiązuje ich, lecz je zaostrza i podnosi sztucznie do przesadnych rozmiarów.

---

*) Noc przynosi dobre rady.

Program stronnictw autonomicznych w Austryi.

II.

Po krótkim wstępie historycznym przechodzi autor do spraw aktualnych i zajmuje się przedewszystkiem zarzutami, jakie opozycya podnosi przeciw obecnej większości parlamentarnej Najczęściej wyczytać można w dziennikach liberalnych zarzut, że większość dzisiejsza powstała w tym celu, aby obalić konstytucyę, której Austrya tyle zawdzięcza. Otóż hr. Dzieduszycki chce tę kwestyę całkiem jasno postawić i pisze co następuje: „W interesie zupełnej szczerości muszę przyznać, że stronnictwo autonomistów będzie dążyło do zmiany konstytucyi, skoro stosunki tak się ułożą, iż zmiana da się osiągnąć w drodze legalnej. To przyznanie jednak nie uprawnia przeciwników żadną miarą do tego, ażeby nam podsuwali myśli, niebezpieczne dla państwa. W samym fakcie, że ktoś zmierza do konstytucyjnej zmiany konstytucyi, nie ma nic nadzwyczajnego; nadzwyczajnem byłoby przeciwnie twierdzenie, że jakakolwiek przez ludzi stworzona konstytucya byłaby czemś nie do zmienienia, czemś, co ma wiecznie pozostać dokładnie takiem samem, jakiem jest. Pomimo nadzwyczajnej przezorności, z jaką ustawodawca w Austryi utrudnił każdą zmianę konstytucyi grudniowej, była ona już dwa razy, a każdym razem przy współudziale centralistów, zmieniana, a mianowicie przy wprowadzeniu bezpośrednich wyborów do Rady państwa i przy niedawno uchwalonej reformie wyborczej. Czyż ponowna, tym razem w duchu autonomicznym przedsięwzięta zmiana konstytucyi, miałaby być raz na zawsze wykluczoną? Są raczej pewne znaki, które wskazują na to, że taka korektura naszych stosunków konstytucyjnych z czasem znowu przy współudziale lewicy przyjdzie do skutku — przynajmniej w tym wypadku z pewnością, jeżeli nie nastąpi to, do czego obecna większość Rady państwa dąży, tj. autonomistyczne wykonywanie obecnej konstytucyi i jeżeli teraźniejsze niezdrowe stosunki będą trwały dalej z wielką szkodą austryackiego parlamentaryzmu. Przed ostatnim wybuchem politycznych namiętności, a więc jeszcze w jesieni ubiegłego roku, przyznawali wielokrotnie wybitni członkowie lewicy, że życie umyka z centralnego parlamentu i cofa się do Sejmów i że przeto wydaje się być rzeczą potrzebną przyznanie Sejmom większych praw, aniżeli dotychczasowe. Nawet na wprowadzenie bezpośrednich wyborów do Rady państwa uskarżali się głośno liberalni i niemieccy mężowie. Namiętności znowu się ułożą i znowu obudzi się przekonanie, że sama natura tego państwa przynosi ze sobą konieczność autonomistycznego pojmowania życia publicznego.

„Tylko jedno nie może stać się: ani autonomistyczne wykonywanie obecnej konstytucyi tak, jak teraz bezpośrednio do tego dążą, ani ewentualna przyszła zmiana pewnych zasad tej konstytucyi nie może narażać na szwank koniecznej jedności państwa; nie ma co o tem myśleć, ażeby poszczególne kraje koronne wydzielić ze związku państwa, jak to — nie ze strony autonomistów — bywa projektowane; jakkolwiekbądź mogłyby się z czasem ukształtować konstytucye krajowe, o ile bądź nawet znalazłyby uwzględnienie historyczne tradycye poszczególnych krajów, czy też grup krajów, wspólna konstytucya państwowa musi obowiązywać we wszystkich częściach państwa; wiele i ważnych rzeczy, rzeczywiście wspólnych, musi być regulowanych w centralnym parlamencie, a nie na drodze ugody i układu i wspólny rząd państwa musi bezpośrednio przez swe własne organy wszędzie powierzone mu funkcye wykonywać. Przy tem trwają autonomiści, tak samo, jak obstają za tem, ażeby królestwa i kraje nie zostały zepchnięte do rzędu zwykłych okręgów administracyjnych, ażeby ich granice pozostały nienaruszone, ich konstytucye i prawa tylko przez własne Sejmy mogły być zmieniane,

---

2)

Z wycieczki do kąpiel w Boulogne.

(Ciąg dalszy).

Wiatr wyje, huczy, szaleje, zabiera kapelusze, wyrywa parasole z rąk, więc trzeba z nim wejść w układy.

Zamiast kapelusza, miękka czapeczka marynarska, nieprzemakalna; parasole zostawia się w domu, jako najantypatyczniejsze i najmniej estetyczne z ludzkich narzędzi. Kładzie się płaszcze nieprzemakalne, tak dalece do wyrobu yankesów podobne, że nikt nie ośmieliłby się wziąć ich właścicieli za co innego, jak za czystej krwi amerykańskie „ladies“, buciki nieprzemakalne, — i w drogę.

W drogę na złość drobnemu, upartemu deszczykowi, na złość szalejącemu wiatrowi, na złość morzu, które pieni się i grozi, na złość wszystkim żywiołom.

Cała trójka: Bum, panna Kicia i jej opiekunka idą na „jetée“.

Brrr! co za piekielna swawola wichru! Bumowi nie tyle grozi zdmuchnięcie z „jetée“, co jego właścicielkom. Ktokolwiek głową wznosi się o jakie półtora metra nad ziemię, ten musi walkę stoczyć z wiatrem, który huczy ogłuszająco:

— Nie pójdziesz dalej, nie pójdziesz!

Otóż właśnie, że pójdziemy. Tylko trzymamy się mocno jedna drugiej, a panna Kicia radaby i Buma wziąć pod rękę, tak bardzo się o niego niepokoi.

Ale już jesteśmy pod zasłoną latarni morskiej i od północy wiatr nie ma do nas przystępu. Już nic nie widać od strony ziemi, tylko cienie jakieś rysują się niewyraźnie, niewiadomo, kopuła bazyliki, wieże i wzgórza, czy też ciemniejsze chmury, zbite gęstą masą w jednem miejscu.

Dżdżu dosyć! Dżdżu aż nadto!... Z morza się unosi, z góry płynie. Tylko szum słychać wielki—to tak wicher z falami oceanu harcuje.

Więc Bum, Kicia i ja, zasuwamy się w miejsce specyalnego naszego upodobania. Niktby tam nie trafił, bo komuż przyjdzie na myśl wsunąć się między całe stosy desek, przygotowanych — na co? nikt nie wie.

Bez książki w ręku, bez myśli w głowie, wyciągnięte na deskach, jak na otomanie, z głową pochyloną nad morzem, spoczywamy tak długie, długie chwile. Bo tam właśnie sterczy głaz olbrzymi; wyłania się pochyło z wód spienionych, gładką płytą pnie się łagodnie w górę, jakby na urągowisko bałwanom.

Co się tam za harce odbywają przy tym głazie poczerniałym! Co za zajadłość fal wzburzonych! Pędzi bałwan chytry, jakby przyczajony, pędzi prosto na tę oporną bryłę — już przyskoczył — trrach! uderzył czołem o granit i rozbił się w pył drobny; ale za nim, zniecierpliwiony, gwałtowny, pędzi drugi, przeskakuje go z błyskawiczną szybkością i uderza z szaloną mocą; tuż za nim trzeci i dziesiąty; coraz większe, coraz potężniejsze, na wyścigi, rwą się do tej niemej i urągającej im skały, pną się po jej ścianie, wskakują wściekłe na kark granitowego potwora, rozbijają się w olbrzymi wodotrysk, spadają srebrną kaskadą po bokach, albo też zziajane, plują pianą mętną na wszystkie strony.

I można tak patrzeć i patrzeć bez końca. Każda fala inaczej zabiera się do ataku, każda z inną siłą i w inne tęcze się rozsypuje, a szumią i szumią, i tak jakoś duszę ukołyszą, tak myśl opanują, że się wpada w dziwny stan odurzenia. Oczu już oderwać nie można od tego widoku, świst wiatru i błysk fal, gra wodotrysków i huk wodospadów hypnotyzują zupełnie. Zapomina się o świecie, o czasie, o wszystkich małostkach i drobnostkach życia codziennego, a godziny lecą niepostrzeżenie i chciałoby się przedłużyć je w nieskończoność.

Tylko tam zdala, z po za tego blado-sinego horyzontu, nie wiadomo z góry, czy z dołu, z chmur, czy z oceanu, dobywa się głos dziwny, straszny, przypominający i ryk zarzynanego zwierzęcia i wycie kroci psów naraz i huk grzmotu i coś jeszcze, coś tajemniczego, niesłyszanego nigdy przedtem, a robiącego dziwne wrażenie w tem bezbrzeżu osłon mglistych, w tem szamotaniu się żywiołów. Bum nie omieszka przeciągłem wyciem odpowiedzieć na ten sygnał ponury.

To syrena morska, zwana mniej poetycznie krową morską, dająca sygnały statkom na pełnem morzu.

Oprócz niej, tam w oddali za wszystkiemi „jetées“ kołyszą się stateczki i piasek dobywają dniami, miesiącami i latami dla pogłębienia portu. Statek, już dostatecznie naładowany, daje sygnał portowi, aby mu „remonqueur'a“ przysłano, którySby go przyciągnął do przystani.

Każdy statek ma innego „remonqueur'a,“ dobywa innego głosu na przywołanie niezbędnego pomocnika. A co głos, to nowa harmonia, ale harmonia obmyślana w piekle do użytku wszystkich upiorów, jędz, wiedźm i złych duchów.

* * *

Boulogne ma dwie „plaże“. Tak zwaną wielką, gdzie setki namiocików, krzeseł, foteli wykładanych z baldachimami i z parasolami, gdzie tysiące zamorskich przybyszów w najdziwaczniejszych strojach, gdzie krokiet kwitnie, a dno piasczyste morza po odpływie podzielone jest na kilkadziesiesiąt placyków, poliniowanych w przeróżne znaki, niezrozumiałe dla wtajemniczonych; gdzie kule się toczą i różne kabalistyczne wykrzykniki w powietrzu rozbrzmiewają. Tam siatkę rozstawiono i piłki po nad nią pędzą w różnych kierunkach, a nic się tam dosłuchać nie można, oprócz krótkich wyrazów: „One“, „Game“, „Play“, rzucanych energicznie, jak komenda wojskowa. A ci, którzy gonią za piłkami, odbijając je lub przesyłając, tak są pochłonięci tą ważną sprawą, tak skoncentrowali uwagę swoją na placu „tennisa“, że świat mógłby runąć, morze mogłoby z granic swych wystąpić, a oni nie przerwaliby partyi za żadną cenę, za żadne ziemskie obietnice.

Istne mrowisko na tej wielkiej „plaży“; można się tam przyglądać obrazkom najciekawszym, najśmieszniejszym i najpoetyczniejszym. W Boulogne zjeżdżają się głównie Anglicy i Amerykanie.

Niemców, Francuzów, Włochów etc. nie widuje się, jest to „plaża“ angielska. Anglicy są tu u siebie — tylko ich język się słyszy, tylko na ich ekscentryczności się patrzy.

Widuje się tam pewną uroczą kobietę o cerze, jaka się tylko w Albionie spotyka, siedzi ona prawie zawsze na tem samem miejscu, zagłębiona w długim fotelu, do którego przymocowany jest na bambusowej lasce wielki parasol w formie kopuły, dokoła zwieszają się z niego długie kolorowe frendzle, pomięszane z dzwoneczkami, które pobrzękują ile razy wiatr silniej o nie trąci — i wtedy wzbija się w przestrzeni harmonia delikatna, czasem do jęku, czasem do arpegia słowiczego podobna.

Młoda a urocza kobieta siedzi tam pod tą fantastyczną kopułką, zwykle z książką, czasem z robotą w ręku; a co chwila przybiegają do niej trzy dziewczynki, wyjęte z obrazków „Kate Greenway“.

Dziewczynki ślicznie ubrane, sukienki ich podniesione w górę, jak tuniki, a nóżki gołe wyżej kolan; jedna ma zawsze coś z konewką do roboty, druga z łopatą, a trzecia z siatką do łapania krewetek.

Cudne są czy się kłócą, czy śmieją, czy ocierają bose nóżki z piasku i z mozołem wielkim naciągają pończoszki.

Jak trzy motyle różnobarwne, przyfruwają do mamy, przytulą się do niej, opowiedzą jakiś nadzwyczajny epizod, przy którym mama uśmiecha się ślicznie, ale uśmiech ten jest smutny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

aby przez Sejmy uchwalane ustawy miały równe znaczenie z ustawami państwowemi, a nie mogły być alterowane przez ustawę państwową".

Bardzo trafne są dalsze uwagi autora, który wykazuje, jak szkodliwą jest rzeczą to, że parlament centralny zajmuje się sprawami, które do niego nie należą i miesza się do sporów narodowościowych. „Każdy austryacki mąż stanu — pisze hr. Dzieduszycki — który jest godnym tego miana, wie, że załatwienie sporów narodowych należy do najważniejszych potrzeb naszego bytu państwowego, a nawet ci rzekomi trybuni ludowi, którzy najbardziej przyczynili się do rozjątrzenia sporu, powtarzają to za mężem stanu, że przywrócenie pokoju narodowego jest poważnym postulatem. Ale w Radzie państwa i przez Radę państwa pokój ten nigdy nie będzie przywrócony. Dopóki Izba posłów będzie placem boju dla narodowych walk, będzie się musiało o mandat do Rady państwa starać w ten sposób, że ubiegający się będzie musiał objawiać swój własny narodowy szowinizm, a szowinizm wyborców będzie się starał jeszcze podniecać. Nie jest to dobrze, że walka o władzę, a przynajmniej o wpływ w całem państwie jest zmięszana w jedno z walkami narodowości. Jeżeli chce się mieć pokój, to musi przedewszystkiem starać się o to, ażeby kwestye, których rozwiązanie tylko w poszczególnych krajach może być dokonane, nie rabowały czasu i spokoju parlamentowi centralnemu. Nie powino być w przyszłości urządzane dotychczas zbyt często powtarzające się widowisko, polegające na tem, że parlament centralny przenosi się duchowo do Pragi, Lwowa lub Parenzo i najważniejsze sprawy krajowe wynosi przed forum, które nie posiada niezbędnej do wydania wyroku znajomości rzeczy.

„Konstytucya zapewnia wszystkim obywatelom państwa prawo kształcenia swych dzieci we własnej rodzinnej mowie, także na koszt państwa; ona zapewnia im prawo porozumiewania się we własnym kraju ze wszystkiemi władzami w mowie rodzinnej, pielęgnowania umiejętności z publicznych środków w mowie rodzinnej.

„Prawo to musi być w rozmaitych krajach stosownie do warunków krajowych i zgodnie z historyczną świadomością ludności rozmaicie ukształcone; przyznawali to także twórcy konstytucyi, gdy dla Rady państwa zastrzegli tylko prawo uchwalania ogólnych zasad administracyi i szkolnictwa i gdy bezpośrednio z ich łona wyszłe parlamentarne ministerstwo nie zapytywało wcale Rady państwa, kiedy przystępowało do rozwiązania kwestyi językowej w sprawach administracyi Galicyi. Jeżeli kwestye językowe będą ustawowo uregulowane, to może się to stać — nawet według ducha obecnie istniejącej konstytucyi — tylko w sejmach; tylko w sejmach może się znaleść zrozumienie wszystkich trudnych i nawet często dla obcego wprost niemożliwych do pojęcia zapatrywań, których uwzględnienie może jedynie zapewnić trwały pokój, zadowalający mowę narodową, jak też i historyczną świadomość ludów".

Nie należy bowiem, jak to autor słusznie dowodzi, uważać austryackiej monarchii za identyczną z niemiecką monarchią wschodnią. Wielkie państwo austryackie nie powstało przez zdobycze barbarzyńskich margrafów, lecz wskutek i mniejsze państwa znalazły się razem pod wspólną dynastyą i tej dynastyi zaufały jest to, że te ludy we wspólnym związku widzą rękojmię dalszego własnego istnienia wobec wolnych narodów Europy, rękojmię rozwoju rodzinnej kultury, pielęgnowanie narodowych tradycyi. Dla tego to one trzymają się wspólnego domu panującego i gotowe są we wspólnem ciele ustawodawczem uchwalać to, co dla wspólnego dobra powinno być uchwalone. Jednakże miłość kraju ojczystego jest podstawą przywiązania do państwa. — Z tego powodu autonomia krajów wzmacnia i utrzymuje byt Austryi.

Trzęsienie ziemi w Kalkucie.

Jeden z naocznych świadków tej wielkiej katastrofy, która dotknęła stolicę angielskiego cesarstwa Indyjskiego, nadsyła następujące sprawozdanie z jej przebiegu:

Była godzina piąta po południu i właśnie zamierzałem wyjść z biura do domu na obiad. Koledzy moi już prędzej opuścili biuro. Wtem rozlega się huk podobny do grzmotu, okna i drzwi drżą, jak w czasie silnej burzy, tynk i ornamenta lecą ze ścian i sufitów. Przez okna biura wydostaję się na dach sąsiedniego domu, by zobaczyć co się dzieje. Wszystko trzęsie się i chwieje jak okręt, a ja ledwie utrzymać się mogę na nogach. Potężny, masywny nasz dom kołysze się falistym ruchem, ściany jego pękają. Patrzę na zegar, i zadaję sobie mimowolnie pytanie: w którą też stronę upadnie?

Nakoniec wstrząśnienia ustają. Stoję na mojem miejscu nietknięty. Zdawało mi się, że trwa to Bóg wie jak długo, a tymczasem wszystko trwało — trzy minuty! Po pewnym namyśle odważyłem się wyjść na schody i przez stosy gruzów, na ulicę.

Przeszedłem się po kilku sąsiednich ulicach, na których roiło się od krajowców. Za pierwszem wstrząśnieniem bowiem wszyscy mieszkańcy wybiegli z domów, o czem ja, nie mając pojęcia o trzęsieniu ziemi, nie uczyniłem, a przytem tak oszołomiony byłem tem groźnem zjawiskiem przyrody, że nie zdawałem sobie zupełnie sprawy z tego, co się koło mnie działo.

Ulice przedstawiały dziwny widok, gdyż dachówki, gzymsy, rynny, całe werandy strącone z domów pokrywały bruk zupełnie, przyczem, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, nikt śmierci ani poważniejszych obrażeń nie poniósł.

W pół godziny potem ja i moi koledzy wróciliśmy na nowo do naszych mieszkań. W mieszkaniach naszych ściany i sufity porysowane, na podłodze półmetrową warstwą gruzu, lecz ruchomości, dziwnym trafem, niezbyt uszkodzone. Natomiast dom wymaga kosztownej, gruntownej naprawy, obecnie bowiem nie jest mieszkalnym. Spadły w nocy deszcz dostawał się do wszystkich mieszkań. Udałem się do przyjaciela, którego dom w małej tylko części ucierpiał.

Ruch falisty ziemi szedł w kierunku od wschodu na zachód, ze wzrastającą siłą, tak, że się obawiano, iż cała okolica legnie w gruzach.

Nie ma prawie ani jednego domu w milionowem tem mieście, któryby nie poniósł mniejszej lub większej szkody. Miasto wygląda tak, jakby przetrwało straszne bombardowanie.

Bardzo wiele domów, grożących zawaleniem, trzeba będzie znieść zupełnie.

Samochodem do Paryża.

P. Naimski trzeci list datuje z Frankfurtu nad Odrą 12 lipca wieczorem, i oto co pisze:

Dziś przebyliśmy jeden z najdłuższych dystansów całej podróży: 184 klm. (171 wiorst) z Poznania do Frankfurtu nad Odrą w ciągu 11-tu godzin. Z Poznania wyruszyliśmy przez bramę Berlińską wiaduktem po nad stacyą kolejową na szosę. Droga, „jak po stole", doskonale uwalcowana, a ocieniona naprzemian to wiśniami, oblepionemi dojrzałym już owocem, który tu i ówdzie sadownicy dzierżawcy po drabinkach zbierają w kosze i solówki, to topolą swojską i włoską, to wreszcie klonami, a dalej, w pobliżu Frankfurtu, naturalną ścianą rozległych i często trafiających się lasów.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem, im bliżej właściwej granicy Prus, tem więcej znikają szachownice kolonij włościańskich. Folwarki rzadsze, ale pięknie zabudowane, z pałacami i starannie utrzymanemi parkami, okolonemi murem, tu i ówdzie odsłaniającemi perspektywę klombów angielskich.

Samochód działa doskonale. Jedziemy początkowo z szybkością średnią 3 m. 35 s. na kilometr, potem jednak tempo biegu wzrasta o 10 sekund. Moim współtowarzyszom podróży forsowna jazda nie daje się we znaki; mnie tylko dokucza nieco utrudzenie z powodu, że, pisząc na noclegach, zarywam pory, przeznaczonej na wypoczynek i sen. W Berlinie, gdzie dłuższy postój, można to będzie wyrównać.

Ostatniem większem miastem w obrębie Księstwa Poznańskiego są Pniewy (Pinno) nad pięknem jeziorem Pniewskiem. Po za niem z zachmurzonego nieba zaczyna kropić deszcz; ale zaledwie zabezpieczyliśmy się od niego, podnieśli budę powozu i nałożyli „waterproofy", już padać przestał. Natomiast zmusiło nas do zatrzymania się pęknięcie sprężynki u regulatora w motorze, której naprawa wraz z nalaniem benzyny do palników i rezerwoaru zajęła mechanikowi 20 minut czasu.

Toż samo z drugą lewą sprężynką powtórzyło się za Świebodzinem (Schwiebus), dość dużem miastem w rejencyjnym obwodzie frankfurckim, na linii kolei Poznań-Frankfurt, która ciągle przecina drogę, jaką zdążamy, biegnąc równolegle z nią, lub odbiegając niedaleko, ażeby po kilku kilometrach znów powrócić.

Schwiebus jest miastem przemysłowem, posiada bowiem kopalnię węgla z kolejką powietrzną, na drutach po nad wodą przeprowadzoną, fabrykę posadzek terrakotowych i kilka innych zakładów przemysłowych.

Na środku rynku przy akompaniamencie dźwięków... kataryniki rozpytujemy się o dalszy kierunek przez miasteczko.

Na skraju miasta zatrzymujemy się jeszcze na chwilę przed oberżą „pod Słońcem". Moi towarzysze gaszą pragnienie wybornem podobno piwem monachijskiem, wszyscy zaś posilamy się dostatniemi kromkami chleba z masłem i szynką.

Jedyny to też nasz posiłek w ciągu całej podróży dzisiejszej z Poznania do Frankfurtu. Z sobą bowiem mamy w powozie jedynie herbatę i kawę, oraz czekoladę w tabliczkach, którą gryziemy gwoli zaspokojenia głodu, jak bohater Wiktora Hugo (margrabia w „Roku 1793-cim)".

I w Księstwie Poznańskiem i w Brandenburgii żniwa. Od granicy Księstwa zmienia się jeno wygląd żniwiarzy. Zwłaszcza białe czepce kobiet ustępują czarnym kapeluszom, a dość pstre jeszcze spódnice i kaftany jednostajnym, granatowym przeważnie suknion żniwiarek Niemek.

Dla nieprzyzwyczajonego oka dziwnie komiczne wrażenie sprawiają pozostawione wśród pokosów zboża i łanów — wózki dziecięce z uśpionymi przedstawicielami młodego pokolenia kulturträgerów.

Przejechawszy Reppen — ostatnie większe miasteczko przed Frankfurtem nad Odrą — dojeżdżamy do kresu dzisiejszego dystansu o godzinie 7 wieczorem.

Wjazd do miasta jest bardzo ładny i malowniczy. Szosa skręca na aleję szeroką z jednej strony topolami, a z drugiej kasztanami wysadzaną; po nad aleją wał, z którego odsłania się widok na całe miasto i który jest głównem miejscem spaceru dla mieszkańców. Na zakręcie Odra ukazuje się w całej swej okazałości, szeroka prawie jak Wisła pod Krakowem, z berlinkami, tratwami, gabarami, parostatkami i łazienkami kąpielowemi. Po nad miastem góruje wysoko czworokątna wieża ratusza, błyszcząca w słońcu swemi gałkami mosiężnemi.

Wjeżdżamy do miasta ulicą Odry wśród zbiegowiska zaciekawionych Frankfurtczyków i oto na linii kolei elektrycznej znowu łańcuch spada nam z prawego koła tylnego, co od Kutna przy wjeżdżaniu do każdego miasta krańcowego etapu powtarza się po raz trzeci. Stajemy tedy.

Policyant rozpędza tłoczącą się wokoło naszego powozu publiczność, Francuz naciąga łańcuch i po tem niemiłem intermezzo zajeżdżamy wśród pisków i okrzyków gawiedzi ulicznej do hotelu „Deutsch-Haus", gdzie zamówione zawczasu telegraficznie oczekują remiza dla samochodu — a numery z łóżkami dla nas.

Jutro we wtorek po południu będziemy już w Berlinie, dokąd pozostało nam tylko 88 kilometrów.

Wyścigi cyklistów galicyjskich.

Na odnowionym, starannie wyasfaltowanym torze koło parku stryjskiego, odbył się wczoraj turniej galicyjskich cyklistów. Około 2000 osób przyglądało się tym zapasom, składając tem dowód, że sport cyklistowski budzi wśród naszej publiczności coraz więcej zainteresowania. Ze znanych lubowników sportu welocypedowego byli między innymi pp.: hr. Drohojewski, dr. Kozierowski, Dawidowski, Kratter, hr. Morsztyn, hr. Zamoyski, Postruski, Czermiński, Kossak, Mikolasz, Hamerling, Schneider. W czasie wyścigu przygrywała orkiestra 30 pp. pod osobistym kierunkiem kapelmistrza Rolla.

Pogoda dopisała przez czas trwania wyścigów. Dopiero gdy publiczność wracała z toru, lunął deszcz, robiąc niemały popłoch, zwłaszcza wśród pań, ubranych w jasne powiewne tualety. W jesieni mają się odbyć wyścigi cyklistów ogólno-polskie, a prócz tego międzynarodowe.

Bilans wyścigów jest następujący:

I. Wyścig nowicyuszów na rowerach 2000 m. Nagrody: medale: srebrny i bronzowy. Pierwszy przybył Seweryn Komoniewski w 3 minutach 36 sekundach, drugi Julian Krupski w 3 minutach 41 sekundach.

II. Wyścig oficerski na rowerach 3000 metrów o nagrodę honorową. Pierwszy przybył porucznik Fritz Raus w 5 min. i 28 sek., drugi porucznik Bittner w 5 min i 29 sek.

III. Wyścig główny na tandemach 5000 metrów. Nagrody: medale złote i srebrne. Pierwsi przybyli: Arnold Friedrich i Tadeusz Gustowicz, po nich Mieczysław Gelpi i Strzelecki.

IV. Wyścig podoficerski na rowerach 4000 metrów o nagrody pieniężne 30 i 20 koron. Zwyciężył kapral Hüttner z 30 p. p. w 3 minutach 49 sekundach, po nim przybył Kazimierz Puchalski.

V. Wyścig główny na rowerach 1000 m. Pierwszą nagrodę duży złoty medal zdobył sobie Arnold Friedrich w 1 minucie i 35 sekundach; drugą: duży medal srebrny Seweryn Komoniewski.

VI. Wyścig z wyrównaniem na tandemach 3000 metrów. Do mety przybyli pierwsi: Arnold Friedrich i Tadeusz Gustowicz, po nich Mieczysław Gelpi i Strzelecki. Nagrody: medale srebrne.

VII. Wyścig z wyrównaniem na rowerach 2800 metr. Nagrody: medale złoty i srebrny. Pierwszy stanął u mety Seweryn Komoniewski w 3 minutach i 12 $\frac{1}{5}$ sekundach, drugi Arnold Friedrich w 3 minutach i 13 sekundach.

VIII. Wyścig na rowerach o nagrodę honorową (ładny garnitur na papierosy), ofiarowaną przez kasyno narodowe. 1000 m. Pierwszy: Seweryn Komoniewski.

IX. Wyścig „powolny" o nagrody honorowe, polegający na jak najpowolniejszej jeździe, która jest bardzo mozolną ze względu na trudność utrzymania równowagi, zakończył wyścigi. Zwyciężył Tad. Gustowicz, po nim najwolniej jechał S. Komoniewski.

Po wyścigu odbył się komers cyklistów w restauracyi parku stryjskiego.

Bardzo ładnym był widok cyklistów, wracających po komersie do miasta, gęsiego, z zapalonemi latarkami na piersiach żelaznych rumaków. Cyklistki w tym pochodzie nie było ani jednej.

Ptaki drapieżne.

Czy zauważyliście kiedykolwiek, ot, tak sobie, z okazyi pobytu na wsi, co zdarza się w małym światku ptasim, mającym najbliższe sąsiedztwo z ludźmi, najczęściej pod jedną z nimi strzechą?

Zapewne nie. I nie dziw, bo wieś za wiele roztacza powabów, by zajmować mógł drobiazg ptasi, trzepoczący się i ćwierkający pod skrzydłami ganku lub pod stropem stodoły.

Chyba, że ma się wiele czasu, aby w popołudniowych godzinach, gdy skwar letni obezwładnia, z rozkoszą wyciągnąć się na sianie we wnętrzu otwartej na oścież stodoły, a wzrokiem gonić za wpadającemi jaskółkami gnieżdżącemi się wśród belek, lub też przypatrywać się wróblom, które chmarą na tok wpadają, gdy nie dostrzegą tam obecności człowieka.

Jaskółki znoszą do gniazdek swych owady, wróbel na miejscu pożywia się znalezionem ziarnem, wszystko to nie przedstawia jeszcze nic osobliwszego, ot — zwyczajna troska życia ptasiego. Czasem jednak zachodzą w światku tym burzliwe wypadki. Niezliczona ilość wróbli, obsiadująca płoty, w sąsiedztwie gumien, nagle pierzcha, choć żadne niebezpieczeństwo napozór nie grozi, cała ta krzykliwa rzesza w mgnieniu oka znika w sąsiednich krzakach bzu lub leszczyny i żaden świergot już się ztamtąd nie rozlegnie, natomiest w powietrzu wznosi się pisk żałobny jaskółek, które opuściwszy gniazda, krążą gromadnie w bliskości budynków.

Rozglądamy się dokoła i dostrzegamy wysoko na tle błękitnem nieba jakiś czarny punkcik. To jastrząb szybuje nad folwarkiem upatrując zdobyczy i budzi popłoch w światku ptasim.

Trwożny pisk jaskółek, a milczenie hałaśliwych wróbli alarmuje gderliwe kury, które z przerażeniem uprowadzają swe pisklęta w gęstwinę porzeczek i agrestu, lub klombów przed gankiem. Na placu pozostaje tylko kogut, nie podzielający instynktów rodzicielskich, lecz dla kurzego towarzystwa trzymający się bliżej rozłożystych krzaków.

Chwila, a czarny punkcik jak kula leci z nieba, wrzask ptasi jeszcze bardziej potęguje się, i jastrząb już porwał w swe szpony jakieś wylękłe kurcze, które, spóźniwszy się, biegło przez szeroki dziedziniec ku krzakom. Nie lubię wszelkiego polowania, instynkt pierwotnego człowieka myśliwego nigdy się we mnie nie budził, a jednak w takiej chwili ręka szuka dwururki, by zmierzyć do rabusia, godzącego na życie bliźniego ptaka.

Teraz, gdy jastrząb z szamocącą się swą ofiarą, znika w kierunku najbliższego lasu, posłuchajmy, co nam opowie pani gospodyni folwarku, która szczerze boleje nad świeżo poniesioną stratą. Do wieczora nie wyliczy wam, ile to co roku jastrzębie czynią jej spustoszeń w kurniku. I nie sądźcie, że całe stado jastrzębi uwzięło się czynić szkody folwarkowi. Wystarczy jeden taki rabuś, czasem dwóch, a najwięcej trzech. Dosyć wszakże, aby codzień jeden zjawił się na folwarku, by wszystkie zabiegi i troski gospodyni co do kurnika były bezowocne. A gdy wieczorem jeszcze czyni wymówki przybyłemu z raportem gajowemu, że tylko od parady przy sobie strzelbę nosi, uśmiecha się pod wąsem stróż lasu, bo cóż znaczą lamenty babskie, gdy jaja kurze i kacze można kopami nasadzać, wobec tego spustoszenia, jakie czynią jastrzębie wśród ptactwa leśnego i bez tych rabusiów narażonego na przeróżne niebezpieczeństwa?

Z czystem więc sumieniem winniśmy tępić drapieżników, będących plagą zabiegów naszych wiejskich gospodyń, a prawdziwą już klęską dla pierzastych mieszkańców lasu. Czyńmy to wszakże rozważnie, by niewinny nie ucierpiał za winnego; w tym więc celu niech każdy mniej wprawny myśliwy-gospodarz zaopatrzy się w tablice do określenia ptaków drapieżnych i „krukowatych", szkodliwych dla łowiectwa, a tem samem dla hodowli drobiu. Tablice takie ułożył do użytku wszystkich p. Jan Sztolzman, kustosz muzeum zoologicznego hr. Branickich w Warszawie (we Frascati), a wydał je warszawski oddział Towarzystwa Racyonalnego Polowania.

Oto wykaz ptaków, które należy bezwarunkowo tępić: Orzeł karlik (aquila pennata), orzeł przedni (aquila fulva), orzeł cesarski (aquila imperialis), który w młodym wieku ma cokolwiek inne opierzenie, orzeł zys (aquila chrysaëtot), orzeł bielik (haliaëtos albicilla), rybołów (pandion haliaëtas), krótkoszpon (circactes gallicus), sokół wędrowny (falco peregrinus), sokół szlachetny (hierofalcones), kobus (falco subbuteo), drzemlik (falco aesalon), który w młodym wieku lub u samic ma inne opierzenie, gołembiarz (astur palumbarius), krogulec (occipiter nisus), błotnik zbożowy (circus cyaneus), błotnik blady (circus svainsoni), błotnik popielaty (circus cineraceus), błotniak stawowy (circus cufus), kania wielka (milvus regalis), kania mniejsza (milvus niger), kruk (corvus corax), czarnowron (corvus corona), wrona (corvus cornix), sroka (pica caudata), sójka (garrulus glandarius).

Ptaki, które należy ochraniać: Myszołów północny (archibuteo lagopus), orlik grubodzioby (aquila flivia), orlik zwyczajny (aquila naevia), kobczyk (fallco vespertinus), pustułka (fallco tinunculus), pustoweczka (falco cenctris), pszczołojad (purnis apivorus), myszołów zwyczajny (buteo vulgaris), gawron (corvus frugilegus), kawka (corvus monedula), oraz wszystkie sowy, albowiem tępią one mnóstwo myszy, a stosunkowo małą szkodę myśliwstwu przynoszą. Wyjątek stanowi puhacz (bubo maximus), który należy u nas do najszkodliwszych ptaków, lecz na szczęście jest u nas bardzo rzadki; szczególniej użyteczne dla rolników są oba gatunki myszołowców, oraz pustułka.

Tablice są bardzo starannie i pracowicie ułożone, a zaopatrzone w rysunki, przedstawiają znamiona ptaków drapieżnych.

Z izby sądowej.

Sofia 17 lipca.

(Zamordowanie śpiewaczki.)

Proces przeciwko rotmistrzowi Bojczewowi, prefektowi policyi Noweliczowi i żandarmowi Bogdanowi, rozpocznie się 21 b. m. — Wszyscy trzej oskarżeni są o zamordowanie kochanki Bojczewa, śpiewaczki Anny Simon. Podczas śledztwa wypierał się Bojczew zarzuconej mu zbrodni. Przyznał się jedynie, iż polecił Noweliczowi usunąć Annę Simon. Natomiast Nowelicz i Bogdan przyznają się zupełnie do zbrodni i twierdzą, iż Bojczew brał w niej czynny udział. Oprócz wymienionych stawać będzie przed sądem brat Bojczewa, oskarżony o współwinę w zbrodni, spełnioną przez przywiezienie Anny Simon do Filipopolu. Prokurator postawił wniosek na karę śmierci dla trzech głównych oskarżonych.

KRONIKA.

Lwów 19 lipca.

Prezydent ministrów Kazimierz hr. Badeni przejechał wczoraj przez Lwów, udając się do Buska.

Prezydent miasta dr. Małachowski wyjechał wczoraj na sześciotygodniowy urlop. Zastępować go będzie pierwszy wiceprezydent miasta p. Karol Szajer.

Mianowania. Minister rolnictwa zamianował zarządcami lasów i dóbr skarbowych w IX klasie rangi: Władysława Michalika w Grobli, Jana Kosinę w Berehy, Antoniego Jaworskiego w Łopiance, Alojzego Valentę we Lwowie, Wilhelma Chrza w Jasieńcu, Bolesława Paculę w Hryniawie, Karola Peczka w Polanicy i Władysława Zarańskiego w Nahujowicach, zaś Wojciecha Kurnika, Bolesława Zeńczaka, Jana Staszkiewicza, Zygmunta Skałeckiego, Stefana Studniarskiego, Stanisława Górskiego, Edwarda Lipkę, asystentami w X. klasie rangi.

Radzcy skarbowi Sabin Lachowicz i Wojciech Wawrzkowicz mianowani starszymi radzcami w okręgu lwowskiej dyrekcyi skarbowej.

Przeniesienia. Minister rolnictwa przeniósł zarządców lasów i dóbr skarbowych: Walentego Tomaszewskiego z Tustanowic do Lwowa, Hipolita Węgrzynowskiego z Polanicy do Gawłówka, Antoniego Syma z Zielonej do Mikuliczyna, Józefa Zeńczaka z Łopianki do Tustanowic, Hieronima Hlebowickiego z Osław do Utorop, Ferdynanda Poluszyńskiego z Utorop do Kałusza, lustratora Władysława Kornickiego z Kałusza do Osław, Franciszka Hellera z Kniażdwora do Lisowic, Karola Chlipalskiego z Wiednia do Starzawy, Franciszka Mahra z Kut do Kniażdwora i Zdzisława Stoczkiewicza z Jasienia do Kut.

Zjazd Towarzystwa pedagogicznego rozpoczął się wczoraj w Stanisławowie. Bierze w nim udział około 150 uczestników Ks. Jerzy Czartoryski dotychczasowy prezes Towarzystwa, który osobiście nie przybył na Zjazd z powodu niedyspozycyi, usprawiedliwił listownie swą nieobecność i zgłosił stanowczą rezygnacyę z prezesostwa. Na poufnem posiedzeniu, które się odbyło wieczorem uchwalono przyjąć rezygnacyę ks. Czartoryskiego do wiadomości. Dziś rano rozpoczynają się obrady Zjazdu.

Vis major. W sprawie przyczyny katastrofy kolejowej pod Kołomyją, orzekł inżynier Maryan Maślanka, powołany na superarbitra w celu rozstrzygnięcia różniących się zdań profesorów Rychtera i Skibińskiego, iż powodem katastrofy była *vis major*. Zdaniem p. Maślanki były fundamenta dostatecznie głęboko założone.

W galicyjskim zakładzie dla ciemnych we Lwowie, odbył się w sobotę popis, który świadczył wymownie o sprężystości zarządu i skutecznej pracy grona nauczycielskiego. Popis odbył się pod przewodnictwem ks. Jerzego Czartoryskiego, prawdziwego opiekuna tego humanitarnego zakładu.

Zakład ten należy do najświetniej się rozwijających instytucyi w kraju. Majątku własnego posiada 239.548 zł., zaś fundusz budowy nowego gmachu zakładowego wykazuje kwotę 133.285 złr. Dochodu miał zakład w 1896/7 r. 13.275 złr., rozchód zaś wynosił kwotę 13.131 zł. Zakład opiekował się w ubiegłym roku szkolnym 22 chłopcami i 15 dziewczętami. Sześciu wychowanków opuszcza w tym roku zakład. Po popisie, który wywarł na licznych słuchaczach jak najlepsze wrażenie, rozdała księżniczka Czartoryska, córka kuratora, najlepszym uczniom nagrody.

Ponieważ budynek zakładu przy ul. Łyczakowskiej, istniejący od r. 1851, dziś już ani rozmiarami, ani też urządzeniem nie odpowiada istotnym swym potrzebom, przystępuje obecnie kuratorya do budowy nowego domu przy ul św. Zofii, który będzie mógł pomieścić 60 wychowanków. W nowym domu znajdzie umieszczenie także ochronka dla ociemniałych dzieci, od lat 5 do 10, a nadto przytułek dla dziewcząt opuszczających zakład. Oprócz tego rozpoczęła dyrekcya w bieżącym roku budowę domu, który stanie przy ul Grodzickich na gruncie, na którym stał dotychczas dom pod Matką Boską. Stary dom musiano zwalić na żądanie władz budowniczych.

Stypendyum. Lwowska młodzież uniwersytecka na zebraniu, odbytem w sobotę wieczorem, uchwaliła ze swoich funduszów przeznaczyć 100 zł. rocznie na stypendyum dla ubogiego ucznia gimnazyum Cieszyńskiego.

Dr. Karol Lewakowski opuszcza Lwów i Galicyę i przenosi się do Rapperswillu w Szwajcaryi. aby dozorować w tem mieście — jak donosi jego organ — narodowe muzeum pamiątek polskich. Przyjaciele i zwolennicy polityczni dra Lewakowskiego urządzili mu wczoraj owacyę, mianowicie wręczyli adres pokryty kilkuset podpisami a potem wydali na jego cześć bankiet, wreszcie w kilkunastu powozach odwieźli na ul. Sykstuską do jego mieszkania, gdzie jego małżonce wręczyli bukiety.

Tym sposobem usuwa się z kraju jedna z tych postaci, które w ostatnich czasach kazały dużo mówić o sobie, jakkolwiek żadnej dodatniej usługi nie przyniosły ani społeczeństwu ani narodowi polskiemu.

Kontrakty kupna i sprzedaży zawarto w maju b. r. we Lwowie następujące: Jan Wodziński od spadkobierców Z. Weigel dom przy ulicy Koralnickiej l. 6 za 38.500 złr. Michał Underka od Stanisława Motylewskiego dom przy ul. Szeptyckich l. 4 za 11.300 złr., M. i D. Polturak od Gittli Singer dom przy ul. Kaźmierzowskiej l. 30 za 16.000 złr., Katarzyna Łabędzka od Mojżesza Possamenta dom przy ul. Sykstuskiej l. 16 za 18.000 złr., Herman Hainbach od Józefa i D. Selzerów dom przy ul. Bogusławskiego l. 6 za 49.000 złr., Karol Przybylski od Herscha i Ch. Fleischerów dom przy ul Grodeckiej l. 46 za 21.000 złr., S. i A. Schneider od Klary Jazińskiej dom przy ul. Głębokiej l. 7 za 21.000 złr., Emil Turasiewicz od Ludwika Burzyńskiego dom przy ul. Mochnackiego l. 12 za 46.000 zł.

Wyprawa do bieguna południowego. Grono podróżników belgijskich, pozazdrościwszy laurów nieustraszonemu podróżnikowi do bieguna północnego, Nansenowi, przygotowuje naukową wyprawę do bieguna południowego. Fundusze na tę wyprawę, a mianowicie 250.000 franków, uzyskano w drodze publicznej subskrypcyi.

Wyprawa odbędzie się na specyalnie dla żeglugi na wodach polarnych zbudowanym statku, który nazwano „Belgica". Boki tego statku, całe z drzewa dębowego, stawiają wielki opór ciśnieniu zewnętrznemu. Futrowanie z miedzi, którem zwykle zaopatrzone są statki z drzewa, jest tu zastąpione przez „green heart", drzewo norweskie, o które stępiają się nawet pływające kry. Wreszcie dno okrętu jest zupełnie zaopatrzone w rezerwoary z blachy żelaznej, które służą do przechowania węgli, a przez swój rozkład we wnętrzu statku powiększają jego oporność. Statek ten jest zarazem świetnym żaglowcem i będzie się posługiwał machiną parowa tylko wtedy, gdy wiatru nie będzie lub gdy będzie przeciwnym. Balon, który będzie można puszczać w górę podczas jasnej pogody, pozwoli rozglądać się po morzu na znaczną odległość.

Sztab generalny okrętu złożony jest z kapitana Adrien de Gerlache, dwóch oficerów i pięciu młodych, lecz znanych uczonych: porucznika Daneo, astronoma i meteorologa belgijskiego, Arctowskiego, geologa i oceanografa, pochodzenia polskiego, Kanovitza, młodego i energicznego doktora filozofii, pochodzenia rumuńskiego, doktora Lacaze-Duthiers, członka instytutu i porucznika Lecoite. Personel niższy składa się z dwóch maszynistów, szefa osady, jednego cieśli, dwóch rybaków na wieloryby, dwunastu majtków, dwóch palaczy, kucharza i dwóch garsonów. Szef załogi, rybacy i majtkowie są rekrutowani w Norwegii z pomiędzy ludzi doborowych i przyzwyczajonych do nawigacyi w tych strefach.

Plan wypracowany jest taki: Wyprawa wyruszy z Antwerpii już 25 lipca b. r. Po drodze odpoczywać będą podróżnicy na: wyspach kanaryjskich, w Brazylii i w La Placie, a to głównie celem porównania instrumentów z takiemiż instrumentami różnych obserwatoryów, i żeby się zaopatrzyć w prowizyę świeżą i robić obserwacye co do natężenia względnego ciężkości za pomocą zegara Desforges. Ostatnia stacya będzie na wyspach Falkland lub w cieśninie Magellana, dla dopełnienia żywności. Statek popłynie potem pełnemi żaglami do ziem arktycznych na wschód od ziemi Graham i popłynie morzem Grzegorza IV możliwie najdalej na południe. Dalej popłynie statek wzdłuż wschodnich brzegów ziemi, gór lodowatych lub skał nieprzebytych. Z nadejściem złego stanu pogody, to jest około miesiąca marca 1898 r., statek wróci na północ i zazimuje przez kilka tygodni w Melburnie. Kombinacya ta przedstawia tę korzyść, że po opatrzeniu spodu i boków okrętu i daniu odpoczynku załodze, ekspedycya belgijska będzie mogła poświęcić pięć do sześciu miesięcy dla krzyżowania po Oceanie Spokojnym.

Powrót nastąpi, jeżeli nic nadzwyczajnego nie zajdzie, około kwietnia 1899 r. przez Australię, ocean indyjski i Kanał Sueski.

Women Jubilee Dinner (bankiet jubileuszowy kobiet). Z Londynu donoszą: Jubileusz królowej byłby niezupełny bez bankietu sławnych kobiet. Owóż 14 b. m. luka ta została wypełnioną w bardzo oryginalny sposób. Sto Angielek, które sobie zdobyły zaszczytne imię w sztuce, nauce, literaturze lub na jakiem innem polu działalności duchowej, zaprosiło stu Anglików na bankiet w pięknych salach galeryi Graftona w Londynie. Każda z dam miała prawo zaprosić jednego mężczyznę jako gościa, byleby ten mężczyzna był osobistością w jakiś sposób zasłużoną około ojczyzny. Do komitetu, urządzającego bankiet, należało 15 znakomitych dam, między niemi sławna artystka dramatyczna miss Ellena Terry, doktor medycyny pani Garret Anderson, doktor prawa panna Jane Harrison, lady Jeune, miss Annie Steel, miss Flora Shaw,—dziennikarki i powieściopisarki, i inne panie. Damy zaaranżowały bankiet wspaniale, udowodniając, że można przymioty uczonej kobiety i dobrej gospodyni łączyć w jednej osobie. Naturalnie wszyscy byli ciekawi, w jaki sposób damy zrobią użytek ze swego prawa zapraszania mężczyzn; ale ciekawość ta mogła być tylko w części zaspokojoną, ponieważ trudno było dowiedzieć się, która dama którego gościa wybrała. Z poetów był tylko jeden tak szczęśliwym być wybrańcem jednej ze stu dam: sir Lewis Morris. Dziejopisarstwo reprezentowane było przez Lecky'ego, którego poleciła nawet nie jedna ale kilka dam. Charles Booth, sir Robert Giffen i sir John Evans reprezentowali umiejętność statystyki, sir Robert Ball astronomię, prof. Beesleg filozofię, Herkomer, Orchardson, Briton-Rivière sztuki plastyczne, sir Alexander Mackenzie, sir Walter Parra i mr. Plunket Greene muzykę, sir William Broadbent i kilku innych medycynę. Z polityków zaproszeni byli Curzon, sir Edward Grey, lord Jerzy Hamiltoln, Morley, Bryce, z teologów biskup Londynu, nadzwyczaj uczony kapłan, z romansopisarzy Anthony Hope i Tomasz Hardy, z podróżników słynny Stanley, z prawników sir Jerzy Lewis, Haldane, sir R Finlay, z krytyków literackich Courtner i Andrew Lang. Armię i marynerkę reprezentowali sir Donald Stewart i lord Karol Beresford, teatr dyrektor Comyns Carr, kolonie sir Jerzy Goldie z kompanii Niger, nie brakło naturalnie także dziennikarzy i księgarzy. Ze stu dam, które wzięły udział w bankiecie wymienić należy obok kilku powyżej już wymienionych jeszcze Mme Paul Bourget, lady Randolph Churchill, mrs. Craigie, hr. Feodorę Gleichen, Sarah Grand, miss Kingsley, ks. Leeds, miss Elżbietę Robins,

lady Henry Somerset, mrs Stanley, Antoinette Sterling, mrs Alma-Tadema, mrs Humphrey-Ward — wszystko znane autorki. W programie były tylko dwa toasty: jeden na cześć królowej, wzniesiony przez miss Steel, drugi na cześć gości, wzniesiony przez lady Henry Somerset. Na ten ostatni toast odpowiedział szeregiem dowcipnych zwrotów i spostrzeżeń biskup Londynu. Oba toasty wzniesione przez damy były krótkie ale bardzo serdeczne, a zaczynały się od słów: „Gentlemen and Ladies“ zamiast zwykłej formułki używanej przez mężczyzn w czasie wspólnych bankietów: „Ladies and Gentlemen!“ Nawet menu było ułożone pod znakiem emancypacyi, spotkano się np. z imieniem Pompadour, przy zupie, z Sappho przy drobiu, z Maintenon przy homarach. Na cześć królowej był pudding pod tytułem [illegible] *délices du jubilée à la Victoria.* Podczas uczty [illegible]a była bardzo ożywiona, a cały ten wieczór [illegible] prawdziwym klejnotem wśród rozmaitych innych uroczystości na cześć królowej Wiktoryi.

Dwie krwawe tragedye rodzinne w ciągu 24 godzin miały miejsce w Wiedniu. Wczorajszej nocy Jan Berger zastrzelił swoją żonę, a następnie siebie. Wieczorem tego samego dnia 34letni lakiernik Franciszek Kochaszek wpadł do mieszkania swej żony w Rudolfsheim i jednym wystrzałem z rewolweru pozbawił życia ją, a drugim siebie. W liście wystosowanym do dyrekcyi policyi wyłuszcza powody swego czynu. Znany był on jako człowiek porządny i pracowity. Przed kilku laty poznał młodą dziewczynę, robotnicę w jednej fabryce, a przed trzema laty ożenił się z nią. Pożycie było spokojne i dosyć szczęśliwe, dopóki Kochaszek nie wpadł na trop stosunku swej żony z czeladnikiem krawieckim. Wtedy zaczęły się niesnaski i awantury dochodzące do bójek, wkońcu zaś Kochaszek wyprowadził się od swej żony. Zaczął grać w karty i pić, w ostatnich czasach porzucił nawet swego pracodawcę, posprzedawał meble i rzeczy, a noc przed śmiercią przesiedział całą przy zielonym stoliku. Lokatorowie domu, w którym żona jego mieszkała, wiedzieli, że jej naznaczył listownie schadzkę w pobliskim parku, chociaż doowego czasu nigdy się u niej nie zjawiał. Nie wiadomo, czy poszła na ową schadzkę, ale wieczorem tego dnia usłyszano w jej mieszkaniu jakiś niepokój, a następnie krzyk: „Jezu Chryste!“ Mąż wymierzył jej strzał w pierś. Raniona śmiertelnie miała jeszcze siłę otworzyć drzwi i zawołać: „Zastrzelił mnie!“ Poczem padła bez życia. Jego znaleziono w pokoju z roztrzaskaną głową.

W prywatnem seminaryum żeńskiem w Rzeszowie zostającym pod kierownictwem em. prof. gimn. p. Kl. Bilińskiego będzie otwarty w r. szk. 1897/8 kurs trzeci, po ukończeniu którego kandydatki będą mogły poddać się egzaminowi dojrzałości w publicznem seminaryum męskiem w Rzeszowie. Na pierwszy rok mogą być przyjęte kandydatki z ukończoną trzecią klasą szkoły wydziałowej, lub na podstawie egzaminu wstępnego.

Wolne polskie towarzystwo literackie południowo amerykańskie — organizuje się w Brazylii. Celem głównym towarzystwa jest rozwijanie Polonii, zapobieganie wynaradawianiu się licznie tam osiadłej polskiej emigracyi. W programie towarzystwa leży również zasilanie dziennikarstwa polskiego w Europie prawdziwemi i dokładnemi wiadomościami z emigracyi.

Wypadki kolejowe. Na rzece Adour obok Tarbes we Francyi wybudowali pionierzy prowizoryczny most, który miał zastąpić most żelazny, zerwany przez ostatnie powodzie. Kiedy w piątek przejeżdżał po nim pociąg próbny, zawalił się most, a do rzeki wpadły dwie lokomotywy i wóz osobowy. Jedenaście osób przeważnie inżynierów i oficerów inżynieryi, odniosło ciężkie rany.

Wczoraj po południu pod Franzensbadem, najechał, z powodu złego ustawienia zwrotnicy, pociąg idący z Tuerschnitz na pociąg zdążający do Chebu, wskutek czego siedm osób odniosło lekkie uszkodzenia.

Na stacyi kolejowej Dziedzice za Krakowem dostał się w sobotę w nocy inżynier dziedzickiej rafineryi nafty „Schodnica“ Fiebiger pod koła pociągu pospiesznego. Nieszczęśliwy odniósł tak ciężkie rany, iż w kilka chwil po wypadku wyzionął ducha.

Konkursa: Wydział krajowy ogłasza konkurs, celem nadania jednego stałego wsparcia w kwocie 600 zlr., z fundacyi Walerjana Czajkowskiego. Wsparcie to przeznaczone dla członków familji śp. fundatora, którzy ukończywszy 55 rok życia, bez własnej winy, dostatecznego utrzymania nie mają. Prawo nadania wsparcia przysługuje Drowi Wiktorowi Władysławowi Czajkowskiemu posłowi na sejm i właścicielowi dóbr, ewentualnie Wydziałowi krajowemu. Podania do Wydziału kraj. należy wnosić najdalej do końca lipca rb., z załączeniem metryki chrztu i dowody pokrewieństwa z rodziną śp. fundatora oraz legalnego świadectwa o stosunkach majątkowych. — Osoby które nie ukończyły 55 roku życia winny udowodnić kalectwo czy chorobę nieuleczalną, uniemożliwiającą pracę na utrzymanie własne, wiarygodnem świadectwem lekarskiem.

W Krynicy bawi wedle spisu z dnia 10 lipca 1791 osób. (1120 rodzin)

Zapasy atletów w Gmunden urządza komisya zdrojowa jako przedwstępną uroczystość obchodu urodzin cesarskich — w dniach 14, 15, 16 sierpnia. Program bardzo obszerny i wspaniały a komisya naznaczyła mnóstwo odznak honorowych dla zwycięzców.

Zamach samobójczy wykonał wczoraj we Lwowie szeregowiec 80 p. p. Szymon Zech z Wysocka w pow. Brodzkiem. Przywiązawszy sznurek do kurka karabinu, skierował lufę w serce, lecz gdy szarpnął nogą kurek, usunął się karabin a kula przeszyła mu ramię.

Z Szczerca nam donoszą: „Zgromadzenie socyalistów, zwołane na wczoraj, niedzielę, do Ostrowa przez posła V. kuryi p. Kozakiewicza nie odbyło się, ponieważ p. Przybysławski, delegowany przez starostwo lwowskie, w charakterze komisarza rządowego — widział się zmuszonym je rozwiązać.

Samobójstwo. Franciszek Kastner, porucznik piechoty, o którego zniknięciu ze Lwowa donosił raport policyjny, odebrał sobie ubiegłego tygodnia w Bielsku życie wystrzałem z rewolweru. Przyczyną samobójstwa były długi.

Balonem na biegun północny. Do wiadomości telegraficznej o wzlocie Andréego, podanej w sobotę w *Przeglądzie*, dodajemy następujące szczegóły: Jak wiadomo Andrée już w roku poprzednim postanowił wprowadzić w czyn zamiar swój dostania się na biegun północny za pomocą balonu. W tym celu sporządzono mu we Francyi balon ze specyalnej nieprzenikliwej materyi. Z tym balonem udał się Andrée na t. zw. *Däneninsel* ostatni północny cypel Szpicbergu. Tam wybudował wieżę, w której balon ukryty czekał na hasło odlotu. Zarazem wieża ta miała służyć do obserwacyi meteorologicznych. Według dawniejszych już badań *Däneninsel* leży w pasie wiatrów peryodycznych, z południa, wiejących najsilniej i najdłużej w miesiącu lipcu. Z tego postanowił skorzystać Andrée. Obliczał zaś w ten sposób: Za pomocą tego wiatru wiejącego z południa, dostanie się balon jego w trzy dni nad biegum północny, a w dalszych trzech dniach minąwszy biegun dostanie się do Grenlandyi a ewentualnie Ameryki północnej. Ale zeszłego roku szwedzki inżynier daremnie czekał na wiatr pomyślny. Nie było go i Andrée powrócił do ojczyzny wkrótce po uratowaniu Nansena.

Ale w tym roku ten nie do uwierzenia zuchwały zamiar wszedł w sferę czynu. Andrée powróciwszy na *Däneninsel*, zastał wieżę niezniszczoną. Trochę ją tylko wichry pochyliły. Balon zajął w niej na nowo swe miejsce i znów zaczęło się czekanie. Wreszcie ze szczytu wieży skonstatowano, że wieje wiatr południowy. Zrazu zdawało się Andréemu, że wiatr jest za słaby, ale gdy w kilka dni siła jego się nie wzmogła, postanowił zadowolnić się tem, co jest, biorąc na uwagę, że czekanie nie przyniesie pożytku, bo wiatr ten w sierpniu będzie jeszcze słabszym. Dnia 11 lipca postanowiono wreszcie odlecieć. Przygotowania ostateczne trwały trzy i pół godziny. Andrée zabrał żywność na 14 dni, którą w porcyach dziennych pouwieszał w woreczkach u wewnętrznych ścian łódki. Oprócz żywności i rozmaitych aparatów, przeznaczonych do badania warunków atmosferycznych i geograficznych zabrał Andrée i kilka gołębi pocztowych, które spostrzeżenia jego kolejno zanosić mają na południe. Wieżę, której dwa najwyższe piętra rozebrano już przed pięciu dniami, rozebrano do reszty i napełniony gazem jeszcze w czerwcu „Orzeł“ (tak się nazywa balon Andréego) stanął gotowy do lotu. Wreszcie o godzinie 2 i 25 minut po południu po wzruszającem pożegnaniu z członkami wyprawy i wśród radosnych okrzyków, wzniósł się Andrée nad ziemię. Powietrze było czyste i jasne, a wznoszący się szybko „Orzeł“ wyglądał majestatycznie. Gnany południowo-wschodnim wiatrem poleciał balon w kierunku północno-zachodnim, wzniósłszy się zaraz w pierwszej chwili 200 metrów nad ziemią. Chwilę potem opadł prawie nad samą powierzchnię morza, ale po wyrzuceniu worków z piaskiem uniósł się znowu w górę i posunął się dalej w tym samym co pierwej kierunku. Godzinę widać było „Orła“ jak posuwał się ku północnemu zachodowi z szybkością mniej więcej 35 klm. na godzinę. Wreszcie znikł z oczu patrzącym za nim z *Däneninsel* członkom wyprawy, którzy następnie wsiedli na parowiec „Soenskund“ i odjechali go Trömsöe. Przez całą drogę aż do wylądowania w Trömsöe mieli oni wiatr wiejący z południa, t. j. ten sam, który uniósł „Orła“ z Andreem.

Naukowe zadanie, jakie ma karkołomna wyprawa Andrée'go jest następujące: 1) Zbadać czy przypuszczenie Nansena o prądzie morskim, idącym przez biegun północny, na którem opierała się wyprawa na „Framie“ jest słusznem. 2) Rozwiązać kwestyę otwartego „morza biegunowego“. Czy te pytania Andrée rozwiąże? Sceptycy uważają wyprawę Andréego raczej za zuchwałą brawurę niż poważny wysiłek podjęty w celach naukowych. Optymiści widzą w udaniu się jej początek jakiejś nowej epoki odkrywczej. W rzeczywistości jednak jeżeli Andréemu powiedzie się jego próba, to rezultaty jej staną się wytyczną dla dalszych wypraw do bieguna północnego. Dokładnych rezultatów już choćby dla niemożności zatrzymania się i szybkiego przelatywania nad okolicami bieguna północnego, spodziewać się nie można. Ale, zbadawszy z góry cały teren wypraw, będzie on mógł wskazać podróżnikom drogę, którą zdążać należy, aby dotrzeć najprędzej i najpewniej do celu. Właściwego zbadania okolic bieguna północnego dokonać mogą tylko wyprawy okrętami lub saniami, w których członkowie ich staną na terenie, badanym własnemi nogami.

Andrée jest wspaniałym 42-letnim mężczyzną. Twarz jego szczera, okolona blond zarostem. Z pod silnie orlego nosa zwiesza mu się ku dołowi duży blond wąs. Jasne, niebieskie oczy wyrażają wielką energię. Andrée jest nieżonatym i z zawodu inżynierem w Sztokholmie. Razem z Andrée'm wzlecieli pomocnik jego Nils Strindberg i inżynier Fränkel.

Sprostowanie. Poseł do Rady państwa, ks. Paweł Sapieha przysłał nam odpis sprostowania, które temi dniami wystosował do redakcyi „Kuryera lwowskiego“:

Sprostowanie to opiewa: — Upraszam o umieszczenie, w myśl §. 19 ustawy prasowej, w „Kuryerze“ następującego sprostowania:

W numerze 189 „Kuryera“ z dnia 10 lipca b. r., w korespondencyi z Jasła, minął się piszący ją w następujących punktach z prawdą:

a) nieprawdą jest, bym ja był posłem do Rady państwa „z woli c. k. starosty Gubatty“, jak niemniej nieprawdą jest, bym był posłem „z własnej woli“ i w tym to sensie „jako c. k. jasielski starosta kierował był akcyą urzędową przedwyborczą“.

b) nieprawdą jest, bym rozpoczął był przemówienie moje na zgromadzeniu w Jaśle dnia 25-go czerwca b. r. odbytem od „usprawiedliwienia się, że przed wyborami nie przedstawiłem się wyborcom“.

„Przedstawiają się“ wyborcom tylko ludzie chcący kandydować — ja zaś, nigdy nie chciałem kandydować i nigdy nie kandydowałem.

c) Wyrażenie korespondenta jasielskiego, że ja „przyznałem posłom stronnictwa ludowego konsekwencyą w postępowaniu i sumienne traktowanie sprawy“ i dalej, że mówiłem o nich „z uznaniem“ i „respektem“ nieodpowiada rzeczywistości. Mówiąc o reprezentantach Galicyi w Radzie państwa wyszłych z ostatnich wyborów, zaznaczyłem i podkreśliłem naturalnie walną różnicę między t. zw. Stojałowszczykami lub socyalistami a „ludowcami“ zwłaszcza zaś między n. p. takim p. Szajerem a po słem Bojką; widząc zaś między moimi słuchaczami kilkunastu włościan, nietyle zdeklarowanych stronników „rzeszowskiego“ programu, ile raczej pilnych czytelników „Przyjaciela ludu“, zwróciłem ich uwagę na niemniej walną różnicę zachodzącą między sposobem myślenia i pisania posła Bojki — a sposobem myślenia i pisania redakcyi i innych współpracowników „Przyjaciela ludu“,

d) Mylnem jest twierdzenie, jakobym ja oddawał się „złudnemu marzeniu“, że posłowie stronnictwa ludowego wstąpią do Koła polskiego.

Wiem bardzo dobrze, że dziś, choćby chcieli to by nie mogli; tego uczynić by im nie pozwolono.

Mówiąc o stronnictwie ludowem, powiedziałem tylko, że miałoby było ono z pewnością najwięcej danych do zostania poważnem i mogącem być poważanem stronnictwem — gdyby jego przewodnicy nie byli — jak na to dawno zwracałem ich uwagę — siali wiatru.

Zebrali oni już burzę a z nimi kraj cały.

W tej burzy dużo oni już stracili, a więcej kraj cały.

Zapytany na zgromadzeniu w Jaśle, czy uważam, iż statut Koła dozwala uczciwemu posłowi „ludowemu“ bez „zdrady“ wstąpić do Koła i w niem pozostać — odpowiedziałem, że dozwala; dodając zresztą, że pewne zmiany możnaby łatwo przeprowadzić.

e) Przeczę najkategoryczniej, bym był o przywróceniu „pośrednich wyborów do Rady państwa“ jako o postulacie Koła polskiego wspominał.

Z poważaniem *Paweł Sapieha.*

O gorączce kolejowej (*Eisenbahnfieber*) ogłasza *Nat. Zeit.* pogadankę, która obecnie, gdy właśnie mamy sezon wycieczek i podróży, bardzo jest na czasie.

Gorączka kolejowa jest chorobą, na którą zapada wielu, ale która nie budzi litości, lecz tylko śmiech ironiczny. Mimo tego gorączka ta jest faktycznie chorobą, tak jak wiele innych trapiących rodzaj ludzki. w nocy przed wyjazdem zaczynają się objawy chorobliwe. Człowiek, który jest skłonny do gorączki kolejowej, nie może spać, jakiś nieokreślony niepokój spędza mu sen z powiek, co godzinę się budzi, co godzinę zapala świecę, czy lampę, patrzy na zegarek, a szczęśliwy jest, gdy wreszcie bije 5 godzina, gdy może wstać i przekonać się, że wszystkie kufry w istocie już są zamknięte i że wszystko do drogi jest przygotowane. Po przekonaniu się, czy wszystko już popakowane, bada człowiek chory na gorączkę kolejową, po raz nie wiedzieć który, czy okna i szafy dobrze pozamykane, a następnie, jeśli jest przypadkiem *pater familias* budzi rodzinę i służbę.

Najmłodsze dzieci zaraz zaczynają swój szczebiot; starsze, zwłaszcza chłopcy, uczęszczający już do gimnazyum, bardzo często zasypiają natychmiast znowu, co bardzo denerwuje ojca rodziny i powoduje ponowne, czasami bardzo energiczne budzenie.

Wreszcie koło 7-mej godziny siedzą wszyscy członkowie rodziny w pokoju jadalnym przy kawie. Prawie wszyscy parzą sobie usta — bo kawa gorąca — a ojciec, spoglądając co chwila na zegarek, nagli do pospiechu, choć jeszcze przeszło godzina czasu do odejścia pociągu. Nagle zrywa się niecierpliwy papa od stołu, biegnie ku oknu i patrzy na zegar ratuszowy, bo przyszło mu na myśl, że jego chronometr może się spóźniać. Po przekonaniu się, że zegarek dobrze idzie, wysyła ojciec służącę po fiakra. Mija 5 minut, 10, bo służąca ani na pierwszem, ani na drugiem stanowisku dorożek nie spotkała woźnicy. Chory na gorączkę kolejową, cierpi przez ten czas czekania męki Tantala, stoi na balkonie i załamuje ręce, że aż palce trzaskają. Wreszcie nadjeżdża flegmatycznie dorożka. Już ojciec, biorąc do rąk tyle pakunków drobnych ile zdoła unieść, jest na ulicy, wsiada do fiakra, woła na żonę, dzieci i służące.

Wreszcie fiakier, zapłacony odrazu — chory pomyślał o tem, aby mieć drobne pieniądze, jeszcze dnia poprzedniego — rusza z miejsca. Ojciec jeszcze niespokojny: „Czy się tylko nie spóźnimy?“ „Czy gdzie ulicy nie naprawiają, bo musielibyśmy zbaczać, a to mogłoby spowodować spóźnienie“. „Gdzie parasole?“ „Aha zapomniano.“ Wreszcie rodzina jest na peronie. O odejściu pociągu jeszcze ani słychać. Pociąg wprawdzie stoi, ale konduktorzy jeszcze nie otwierają wagonów. Wskutek tego robi chory opryskliwą wymówkę jednemu z konduktorów: „Cóż to pan chce, żebyśmy się spóźnili?“ Nareszcie siedzi chory człowiek w *coupé*, liczy dzieci i niezliczoną moc drobnych pakuneczków, a następnie ocierając pot z czoła, uśmiecha się i mówi: „Dzięki Bogu jedziemy“ gorączka kolejowa minęła.

Klęski żywiołowe nawiedziły w r. b. całą Europę południową. Nieznośne upały panowały w krajach morza Śródziemnego, nawet nocą temperatura nie spadała poniżej 30° R.; nagle zrywały się burze, przechodzące w trąby powietrzne, które zwykle kończyły się oberwaniem chmury, a fale wody w oka mgnieniu zalewały pola i miasta. Burze przeszły półkolem nad Europą. Zaczęły się na wybrzeżach brytańskich, przeszły do Francyi południowej, rzuciły się na półwysep Pirenejski, gdzie w Portugalii łącznie z trzęsieniem ziemi poczyniły spustoszenia. Przeszły przez Kastylię i Andaluzyę, w ciągu dwu dni grasowały na Balearach, Sardynii i Sycylii, na brzegach Tunisu rozbiły mnóstwo okrętów. W następstwie był silny wybuch Wezuwiusza, a cała zatoka Koryncka i przyległy ląd drgały przez 36 godzin. Ofiarą orkanu, który szalał na morzu Egejskiem, padło 38 mniejszych i większych okrętów. Jednocześnie szerzyły się wielkie powodzie w Galicyi i Bukowinie.

Środek przeciw trądowi wynalazł pewien młody szwedzki lekarz ze Sztokholmu, Karol Janson. Zauważył on, że choroba zapalna, zwana różą, korzystnie oddziaływuje na suchotników. Zastosował to spostrzeżenie do chorych na trąd i zaszczepiał im bakterye róży, spreparowane w sposób nieszkodliwy. Eksperymenta przedsiębrane z tą metodą, wydały dość pomyślne rezultaty a szwedzkie towarzystwo lekarskie przedłożyło rządowi projekt, wyasygnowania pieniędzy na sprowadzenie z wyspy Jersey pewnej liczby internowanych tam trędowatych do kliniki sztokholmskiej, aby się leczyli przez sześć miesięcy za pomocą nowego środka.

Najczulszy organ. Za najczulszy na świecie przyrząd fizyczny uważano dotąd spektroskop; tymczasem uczeni fizycy niemieccy, profesorowie Petzold i Fischer, udowodnili, że organ powonienia jest jeszcze czulszym. Mianowicie spektroskop wykrywa obecność sodu w substancyi palącej się za pomocą odpowiednich linii w widmie płomienia tej substancyi nawet wtedy, kiedy tego sodu jest tylko 1,400.000 część jednego miligrama. Natomiast nos jest jeszcze czulszym, bo odczuwa on woń nawet wtedy, jeżeli wynosi 40,000.000 część jednego miligrama. — Kto temu nie wierzy, niech jeden miligram podzieli na 40 milionów części i jedną z nich powącha.

Zemsta. Pan Keller, zamieszkały przy ulicy Panieńskiej pod l. 3, nie był zadowolonym z swego woźnicy Czuczwary, wskutek tego przyjął na jego miejsce innego M. Pfeffra. Dawny woźnica rozgoryczony utratą miejsca postanowił się zemścić. Zemsty dokonał dziś, uderzając swego następcę, gdy ten spał na wozie, tak silnie orczykiem w głowę, że zachodzi obawa o jego życie. — Czuczwarę aresztowano.

Zmarli. W Krakowie Jan Biberstein Starowiejski, b. właściciel dóbr ziemskich, w 61 r. życia. — W Dorze pod Delatynem ks. Tytus Broński, gr. kat. proboszcz.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 18, w poł. + 20 R., Bar. 760. Podnosi się. Pogoda.

Trzy rzeczy Gapskiego. Gapski, dzięki kapitałom, przekazanym mu w testamencie przez kochającą go ciotkę, został dyrektorem instytucyi finansowej, która w ostatnich czasach zaczęła chylić się do upadku. W tej chwili właśnie przyjmuje urzędników, którym zapowiada nową erę w istnieniu instytucyi.

— No, moi panowie, musimy się ostro wziąć do roboty! Dawniej podobno siedzieliście z założonemi rękami. Odtąd będzie inaczej. Skończyły się piękne dni... piękne dni... piękne dni.. Jakże tam się mówi?

— Pan dyrektor ma pewnie na myśli piękne dni Aranjuezu?

— Tak, tak To właśnie. Piękne dni Aranjuezu! Zawsze mieszam trzy rzeczy: piękne dni Aranjuezu, pocztyliona z Longjumeau i krzywą wieżę w Pizie...

LITERATURA I SZTUKA.

* **Dogmatyka katolicka.** Część ogólna. Krótko zebrał ks. J. Tylka. Tarnów 1897. Cena 2 zł.

Znany z powszechnie cenionych dzieł ascetycznych i teologicznych autor ks. dr. Jacek Tylka obdarzył naszą literaturę teologiczną nową wybitną pracą pod tytułem „Dogmatyka katolicka“. Przy coraz żywszem a powszechnem zajęciu, które kwestye religijne budzą w szerokich kołach społeczeństwa, coraz dotkliwiej dawał się uczuć zupełny prawie brak polskich dzieł teologicznych, a przedewszystkiem brak takiego dzieła, któreby systematycznie objęło całą naukę wiary. Podjął się tej szczytnej pracy ks. Tylka, a przez to oddał sprawie katolickiej niemałą przysługę. Będąc przez długie lata profesorem teologii dogmatycznej, autor oprócz głębokiej nauki, którą posiadał, wzbogacił się też doświadczeniem niezbędnie potrzebnem, by dać nietylko gruntowne, ale i jasne tłumaczenie dogmatów Kościoła. Odznacza się autor wielką dokładnością w wyłożeniu nauki wiary, nie pomija on też ważniejszych zarzutów z dawnych i nowszych czasów. Wobec celu, który autor sobie wytknął: „aby w tej walce (przeciw niedowiarstwu) chociaż niektórym przyjść z pomocą“, bylibyśmy sobie życzyli, żeby autor był stawił nowoczesne trudności w świetle konkretniejszem, cytując głównych ich obrońców i rozbierając obszerniej ostateczne logiczne źródła tych błędów. Mamy przed sobą dopiero pierwszą część dogmatyki, traktującą o zasadniczych prawdach religii chrześcijańskiej najbardziej zaczepianych; spodziewamy się, że i druga część wkrótce się pojawi.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 17 lipca.

(Z.). Przewrót dokonywujący się w dwóch kategoryach walorów lokalnych, t. j. alpinach i akcyach tramwajowych, tak dalece absorbował ostatnimi czasy naszą giełdę, że nie zwracała ona wcale uwagi na wypadki, które zazwyczaj decydują o jej tendencyi. Ignorowała więc niemal zupełnie zajścia z dziedziny, t. z. wyższej polityki, przestała się troszczyć o żniwa, mimo uszu puszczała nawoływania Anglii wzywającej państwa europejskie do obmyślenia wspólnych środków wobec zainaugurowanej przez Stany Zjednoczone wojny celnej. Dziś atoli przypomniała się spekulantom troska o żniwa. Na Węgrzech są one już prawie na ukończeniu, można więc wytworzyć sobie mniej więcej dokładny obraz sytuacyi. Otóż faktyczny rezultat żniw jest gorszy niż nawet pesymiści przypuszczali. Od kilkunastu lat Węgry nie miały tak lichych zbiorów zarówno ilościowo jak i jakościowo. Pokazały to próby omłotne. Co gorsza, że i główna dostarczycielka zboża, Rosya, będzie miała w tym roku liche żniwa. Obliczają je co najwyżej na 70 % średniego zbioru. Skutkiem tego ceny zboża poszły dziś ponownie w górę. Pszenica np. podskoczyła na 9 złr. 12 ct. Ucierpiały na tem znów walory kolejowe i wszystkie bez wyjątku spadły. Na targu walorów bankowych była stagnacya. Alpiny i dziś trzymały prym i uzyskały kurs 126.65. Z rent podniosły się obie wspólne o 5 centów.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 368·75, węgierskie 397·—, Anglobanki 161·—, Uniony 299·—, Bankvereiny 258·50, Länderbanki 238·50, Ludwiki 216·—, Czerniowieckie 285·—, Elbethale 255·50, Renta papierowa 102·15, srebrna 102·20, austryacka złota 123·20, austr. renta wal. kor. 101·25, węgierska złota 122·60, węgierska renta wal. kor. 100·25, dukat 5·65, 20-frankówka 9·53—, marki 11.73—, ruble 1.26¾.

Wiedeń 17 lipca. Spirytus 16·50—16·60. Cena ta odpowiada przeciętnej cenie z całego tygodnia.

§ **Doroczne Walne Zgromadzenie** akcyonaryuszy garbarni rzeszowskiej odbyło się w sobotę we Lwowie w Banku krajowym. Obradom przewodniczył prezes Rady nadzorczej p. Stanisław Jędrzejowicz. Akcyjne to Towarzystwo, operujące kapitałem 150.000 złr., rozwija się bardzo pięknie, czego dowodem, iż czysty zysk w ubiegłym roku wynosił przeszło 18.000 złr. Zgromadzenie uchwaliło wypłacić akcyonaryuszom 8% dywidendy. Garbarnia rzeszowska rozpoczęła w ubiegłym roku fabrykacyę pasów t. zw. łańcuchowych, oraz rzemyków, sprowadzanych dotychczas z zagranicy. Na wniosek p. Jędrzejowicza uchwaliło Zgromadzenie wyrazić uznanie kierownikowi garbarni p. Wurmowi za jego dodatnią działalność, poczem uchwalono Radzie nadzorczej absolutoryum.

§ **Sprostowanie** zamknięcia rachunków Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie. W ogłoszonem przed kilku dniami w dziale inseratowym pisma naszego zamknięciu rachunków tego Towarzystwa w dziale ogniowym i gradowym za czas od 1 kwietnia 1896 do 31 marca 1897, wkradła się pomyłka drukarska. W rozdziale zysku wykazano bowiem jako pierwszą pozycyę „Dywidendę dla akcyonaryuszy“ w sumie 28.104 zł. 42 ct. Tymczasem Towarzystwo krakowskie nie ma żadnych akcyonaryuszy i żadnej dywidendy nie płaci. Pomyłka ta pochodzi stąd: Towarzystwo musi swe zamknięcia rachunkowe układać na podstawie formularza, ułożonego przez ministeryum spraw wewnętrznych, w tym formularzu zaś znajduje się rubryka „Dywidenda dla akcyonaryuszy“. W zamknięciach krakowskiego Towarzystwa rubryka ta wprawdzie jest uwidoczniona ale nie zawiera żadnej cyfry. Owóż zecer układający tę tabelę zamieścił cyfrę z rubryki drugiej w rubryce pierwszej, opuścił zaś zupełnie rubrykę 5-tą „Pokrycie niedoboru działu gradowego“, skutkiem tego wszystkie cyfry przesunięte zostały o jedno miejsce wyżej. Właściwe zestawienie rozdziału zysku jest następujące:

Czysta pozostałość		822.722 zł. 43 ct.
Z tej przeznacza się na:		
1) Dywidendę dla akcyonaryuszy		
2) fundusz na remuneracye	28.904 zł. 42 ct.	
3) Dotacyę funduszu zapomogowego dla wdów	4.126 „ 81 „	
4) 21 pr. zwrotu dla członków działu ogniowego	626.349 „ 80 „	
5) Pokrycie niedoboru działu gradowego	100.568 „ 24 „	
6) Przeniesienie na rok następny w dziale ogniowym	62.773 „ 66 „	
		822.722 zł. 43 ct.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 19 lipca. *Sonn- und Montags-Zeitung* donosi, że hr. Badeni pojedzie w tym tygodniu do Ischlu i będzie na audyencyi u Cesarza. Powodem tej audyencyi jednak jest tylko to, że hr. Badeni rozpoczyna teraz urlop, chce zatem przedtem jeszcze złożyć raport Cesarzowi. Aż do powrotu hr. Badeniego z urlopu wewnętrzna sytuacya polityczna pozostanie bez zmiany, wszelkie zatem kombinacye o jakowychś zmianach są zgoła bezpodstawne. Odnosi się to zwłaszcza do kombinacyi wysnuwanych z powodu decyzyi zwinięcia słoweńskiego gimnazyum w Cylei. Zresztą, jak pisze ten dziennik, decyzya ta nie wywarła w kołach słoweńskich bynajmniej przygnębiającego wrażenia. Słoweńcy bowiem mają niemal pewność, że otrzymają słoweńską szkołę weterynaryi w Cylei i gimnazyum słoweńskie w Mitterburgu.

Paryż 19 lipca. Hr. Gołuchowski, który udaje się do kąpiel w Wogezach, podczas pobytu swego we Francyi, spotka się na pewno z ministrem spraw zagranicznych p. Hanotaux.

Konstantynopol 19 lipca. Na wczorajszej konferencyi ambasadorów reprezentanci Turcyi, mimo poprzedniego oświadczenia ministra spraw zagranicznych Tewfika baszy. próbowali jeszcze raz wytargować korzystniejszą regulacyę granicy. W obec tego ambasadorowie zażądali stanowczo pisemnej deklaracyi ze strony Porty, iż przyjmuje proponowaną przez mocarstwa granicę.

Mahometanie kreteńscy wysłali do sułtana telegram z prośbą o wzmocnienie wojsk tureckich na Krecie, gdyż nie czują się dość bezpiecznymi.

Rzym 19 lipca. Dziennik *Popolo Romano* donosi, że hrabia Turynu zażądał od księcia Henryka Orleańskiego satysfakcyi honorowej, gdyż sprawdził, iż szczegóły ogłoszone przezeń o oficerach włoskich, bawiących w niewoli u Menelika, były oszczercze. Hrabia Turynu podobno chce pierwszy pojedynkować się z księciem i nikomu nie ustąpi pierwszeństwa.

HOTEL IMPERIAL

pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia.

Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 19 lipca. M. hr. Chorinski z Budapesztu. J. Cetnarski z Buczacza. L. Rospędowski z Krakowa. Prof. K. Morawski i prof. B. Ulanowski z Krakowa. Dr. S. Rożnowski z Wrocławia. J. Wołkowicki z Strzyżowa. Dr. H. Müller z Berlina. J. Pogorzelski z Krakowa. A. i S. Dąbscy z Rzeszowa. W. Focke z Johnsdorfu. Eug. Ansion z Radymna. F. Alexander z Berlina.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 19 lipca. M. Dwernicka z Zawala. A. Gorayski z Moderówki. F. Wolfarth z Kurzan. B. Wolfarth z Słobody rungurskiej. W. hr. Dzieduszycki z Jezupola. St. hr. Wiśniewski z Krystynopola. Wł. hr. Russocki z Pasiek. T. Sroczyński z Jasła. A. Studziński z Sołotwiny. J. Rakowski z Hermanowic. K. i St. Chłapowscy z Poznania. B. von der Lage z Berlina. J. Vladajanu z Bukaresztu. J. Hohenadel z Filadelfii.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 19 lipca. Hrabia Zyberg Plater z Moszkowa. Hrabina Zaklika z Dobkowiec. Baron A. Horoch z Winniczki. W. Skibniewski z Rosyi. J. Skibniewski z Wiednia. H. Bartmańska z Przemyśla. Ks. J. Leszczak z Rosyi. Ks. A. Gruszczyński z Felsztyna. A. Grzybowski z Rosyi. Br. Dobrzański z Złoczowa. F. Battistello z Tryestu. Dr. A. Nazarkiewicz z Felsztyna. Dr. A. Finkler z Suczawy. T. Gruiński z Delatyna. K. Udrycki i pułkownik de Nachodsky z Mostów. K. Malawski z Tarnopola. Dr. R. Als z Rzeszowa. M. Torosiewicz z Pełtwy. A. Filipowski z Kocowa. J. Graber z Krasnego.

HOTELE K. JANOWICZA

BELLEVUE i METROPOL

we Lwowie.

Przyjechali dnia 19 lipca. W. R. Ottenfeld z Wiednia. M. Braff z Brodów. A. Laufer z Wiednia. J. Fischer z Wiednia. P. Reisner z Wiednia. M. Sandauer z Doliny. P. Karrach z Wiednia. H. Pohl z Wandsdorfu. F. Bom z Wiednia. L. Safrin z Monasterzysk. W. Kuziun z Jasła. J. Gosławska z Brzeżan. G. Hartmann z Wiednia. A. Deutsch z Budapesztu. H. Koren z Berlina. L. Jakobi z Kołomenu. F. Rudner ze Stanisławowa. J. L. Prokop z Berna. M. Kużuchowski z Warszawy.

HOTEL FRANCUSKI

we Lwowie, plac Maryacki

W nowym Zarządzie, zupełnie odnowiony

(F. C. Proksch)

Przyjechali dnia 19 lipca. Hr. M. Piniński z Koszyłowiec. Hr. L. Cigala z Ispas (Bukowina). A. Lunda nadinspektor pocztowy z Wiednia. S. Kozłowski z Lipy. B. Pacała z Hryniawy. S. Zajączkowski z Trembowli. K. Turczyński z Podola. Z. Dąbrowski z Żółkwi. A. Benischer z Berlina. N. Schwager z Podwołoczysk. K. Fleischer z Wiednia. J. Łabes, K. Perger i Bernlochner z Wiednia.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 19 lipca. (Z Izby handlowej)

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215.— do 218.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 200 zł. w. a. 284 — do 288.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 380 — do 390.—. Akc garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.— Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.30 do 111.—, 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.— do 100.70 4 pr. los. w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los. w 43 i pół latach 97.6[illegible] do 98.30. 4 proc. los. w 56 lat 97.30 do 98.—.

Obligi za 100 zł.: Gal fund. propinacyjnego 4 proc 98.— do 98.70, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.75 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 100·20 do 100.90 Kolejowe lokalne Banku krajowego 4% po 200 koron 96.50 do 97.20. Pożyczki kraj. 6 proc. 103.— do —.—, 4 i pół proc. —.— do —.—, 4 proc. z r. 1891 97.80 do 98.50, 4 proc po 200 koron z roku 1893 96.70 do 97.40.

Monety. Dukat cesarski 5.60 do 5.70. Napoleondor 9.48 do 9.58. Półimperyał 9.55 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.27 100 marek niemieckich 58.45 do 58.95.

34)

KTO WINIEN?

Powieść

przez

E. BRADDON.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Tu przypomniał sobie, że miał wódkę w manierce; ale zanim zdążył przyłożyć flaszkę do ust dziewczęcia, Fanny na pół otwarła oczy i sennie rozejrzała się dokoła.

— Gdzie są psy? — spytała, nie zdając sobie na razie sprawy z niezwykłego swego położenia na cudzym koniu.

— Zapewne w sąsiedniem hrabstwie — odparł Morton. — Napij się, proszę, parę kropel wódki... Musisz się czuć osłabioną?

— Wszystko mi się kręci w głowie, jak w walcu — odparła. — Nie, dziękuję ci. Nie mogłabym nic przełknąć... A to co?... gdzie mój koń?!...

— Po tamtej stronie rzeki.. Bądź spokojna. Twój groom ma go w swoim ręku. Nie poniósł żadnego szwanku.

— Jakże się cieszę!... mniejsza o to, że sama zostałam nieco poturbowaną; ale za nic w świecie nie chciałabym, żeby się co złego stało „Primusowi“.

— „Primus!...“ Czy to jego imię?

— „Facile Primus“ Beville nazwał go. Zdaje mi się, że jego łacińskie wiadomości ograniczają się na tych dwóch wyrazach.

Zsunęła się lekko z konia na ziemię, a choć była jeszcze bardzo bladą, wyglądała tak wesoło, jakby nigdy nic złego jej się nie przytrafiło, choć suknia jej była cała przemoczona i błotem zbryzgana.

— Czy tylko pewnym jesteś, Brooksie, że „Primusowi“ nic nie jest? — zawołała do grooma.

— Zdrów jak ryba, milady — odparł sługa. — Tem większy wstyd dla niego!

— Czy myślisz, że moglibyśmy ich jeszcze dogonić? — spytała Mortona.

— Ty sama możesz najlepiej o tem zdecydować — odparł. — Mnie się jednak zdaje, że powinnabyś dać już dziś za wygraną pogoni.

— Może masz i słuszność. Głowa mnie trochę boli — rzekła, podnosząc rękę do skroni. — To pewnie od tego uderzenia o drzewo.

— Jest tu niedaleko dom dzierżawcy na drodze do Blackfordu — rzekł Morton, który również zeskoczył był z siodła. — Gdybyś mi pozwoliła wsadzić cię na mego konia i zaprowadzić tam, to Brooks mógłby tymczasem pojechać dać znać do Blatchmardean, aby przysłano po ciebie powóz.

— To będzie okropny wstyd dla mnie, taka porażka — odparła. — Zresztą jakże ja mogę pozbawiać ciebie całej przyjemności?

— Nie dbam ani trochę o przyjemność. Chcę się tobą zaopiekować.

Ogarniało ją takie osłabienie, że miała ochotę wyciągnąć się na trawie i nie myśleć już o niczem więcej. Pozwoliła więc Mortonowi decydować za siebie; przymocował więc jedno strzemię, przykrócił drugie i wsadził ją ostrożnie na siodło.

— Jedziemy do farmy Dowleya — krzyknął groomowi. — Ty wracaj do domu i przyślij zaraz powóz po twoją panią.

— A co mam zrobić z koniem lorda Beville?

— Co uważasz za właściwe.

Chłopak odjechał niezadowolony. Spodziewał się użyć przyjemności polowania na własną rękę, tymczasem musiał odprowadzać zawstydzonego „Primusa“ do domu.

ROZDZIAŁ XVIII.

Folwark Holbrook, o niskim strzechą krytym dachu, położony na drodze do Blackfordu, należał do posiadłości Blatchmardeanu, które obejmowały obszerny kawał ziemi, obciążony długami rozrzutnego rodu.

W piękny ten zimowy poranek dom dzierżawcy pogrążony był w nieziemskiej ciszy i spokoju i nie zdradzał na zewnątrz żadnych śladów życia.

Morton wprowadził swego konia przez szeroko otwartą bramę na żwirem wysypaną drogę, okalającą trawnik, pod mchem porosły przedsionek. Przed frontem domu rozciągał się ogród warzywny, a od tyłu wznosiły się stodoły i budynki gospodarskie; po obu stronach leżały pola uprawne i sad owocowy, wszystko jakby uśpione w świątecznym spoczynku.

— Wydaje się, jakby tu żywej istoty ludzkiej nigdzie nie było — rzekł Morton, rozglądając się dokoła.

Pociągnął za żelazne kółko, zawieszone u zardzewiałego łańcuszka, i gdzieś w dalekich głębiach tajemniczego domu odezwał się słaby głos dzwonka. Po dwóch czy trzech minutach wyczekiwania ponowił dzwonienie, ale napróżno. Wtedy pomyślał sobie, że młode i zdrowe jego płuca silniejsze będą może od rozbitego dzwonka, i zawołał stentorowym głosem: „Proszę otworzyć!“ Dwa psy donośnem szczekaniem odpowiedziały mu z podwórza; w kamiennym długim korytarzu odezwały się czyjeś kroki i drzwi zostały otwarte przez tęgą, rumianą, średnich lat kobietę z zakasanymi po łokcie rękawami.

— Czy to wielmożny pan dzwonił! — zapytała grzecznie; a spostrzegłszy nagle lady Fanny na koniu, krzyknęła wystraszona: — Chryste Panie! a toż panienka nasza bledziuchna jak płótno!

— Tak, mistress Dawley, to ja — odparła córka lorda Blatchmardean, zsuwając się z siodła na ziemię i wspierając się na ramieniu Mortona, który drugą ręką przytrzymywał niepokojącego się konia. — Spotkał mnie wypadek w drodze i przychodzę prosić panią o gościnność, dopóki nie przyślą powozu po mnie.

— A niechże milady raczy rozporządzać się w naszym domu, jak u siebie — uprzejmie zapraszała gospodyni. — Przedwszystkiem zaś niech pani będzie łaskawą pójść ze mną na górę i zmienić ubranie. Moje suknie nie będą pasowały na figurkę milady, ale zawsze suche odzienie lepsze od przemoczonego.

Lady Fanny zawahała się i spojrzała po sobie.

— Czy to konieczne? — zapytała. — Nie pierwszy to raz wpadłam do wody, a powóz tu będzie za jakie pół podziny. Mogłabym zaczekać.

— Bądźże rozsądną, moja droga Fanny — upominał ją Morton. — Jeżeli nie chcesz koniecznie nabawić się zapalenia płuc lub reumatyzmu, to przyjmij propozycyę pani Dawley.

— Moje suknie są ubogie, ale czyste, milady — upewniała dzierżawczyni.

— Moja poczciwa duszo, czy myślisz, że nie wiem o tem? Jeżeli więc możesz pożyczyć mi jaką taką spódnicę, to chyba zrzucę z siebie tę amazonkę, bo rzeczywiście czuję jakieś dreszcze.

— Febo! — zawołała gospodyni na rudą dziewczynę, która się ukazała w głębi domu, opasana płóciennym fartuchem — zapal ogień w gościnnym pokoju i przystaw do niego kociołek. Możeby wielmożny pan był łaskaw tam przejść i zaczekać, aż się milady przebierze.

— Z przyjemnością — odparł Morton. — Prosiłbym tylko, aby pani przysłała kogo, żeby wziął odemnie konia.

— Febo, pobiegnij co żywo na podwórze i przyślij tu zaraz Billa, żeby odprowadził konia do stajni.

Mistress Dawley wprowadziła Mortona do obszernego nizkiego pokoju, ułożywszy sobie w duchu, że to jest *kawaler* panienki ze dworu. Wszakże ją nazwał „drogą Fanny“ i przybrał względem niej taki ton nakazującej powagi, jakim zwyczajny człowiek nie śmiałby przemawiać do córki lorda.

Na górze, w pachnącej zasuszoną lewandą i przesłonionej wzorzystemi perkalowemi firankami sypialni, Fanny przebierała się naprędce, śmiejąc się ze swego położenia, choć czuła się tak osłabioną i taki miała zawrót głowy, że zaledwie zdolną była utrzymać się na nogach. Dawley pomogła jej nałożyć na siebie wykrochmaloną sztywno białą spódnicę i jaskrawy flanelowy szlafrok w duże kwiaty, który dostała w prezencie od męża, po urodzeniu ostatniego chłopaka.

— Dawley zobaczył to na wystawie w Highclere — objaśniła ją, zawiązując tasiemki — i tak mu się spodobało, że to taki wesoły deseń, że wziął i kupił.

Lady Fanny uśmiechnęła się, widząc w mętnem lusterku odbicie swojej bladej twarzy, od której odbijały pomarańczowe, czerwone i niebieskie kwiaty „wesołego deseniu“. Za pomocą sznura zakończonego kwastami owiązała obszerny fałdzisty szlawrok dokoła swojej smukłej dziewczęcej kibici.

— Ja tymczasem każę wysuszyć i oczyścić amazonkę milady — mówiła dzierżawczyni — tak, że wszystko będzie gotowe, nim powóz nadjedzie. A teraz trzeba, żeby się panienka prędko czemś rozgrzała. Możeby tak kieliszeczek mocnej wódki z pieprzem?

— Ależ za nic w świecie! Nie przełknęłabym tego nigdy...

— To możeby zagrzać wina z korzeniami?

— I to nie; ale z przyjemnością wypiłabym filiżankę herbaty.

— W tej chwili będzie. A czy milady życzy sobie zejść na dół i tam spocząć trochę na sofce, czy może woli przedrzemać się tu, na łóżku?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Manieski i Spółka Hotel Żorża. Zarządca W. Hodak.